

DZIS i JUTRO

WŁADYSŁAW SEŃKO

KATOLICKIE DNI SPOŁECZNE

W pierwszych dniach czerwca odbyły się w Halinie koło Warszawy trzecie z kolei Katolickie Dni Społeczne z udziałem księży delegowanych przez Wojewódzką Komisję Działaczy Duchownych i Świeckich Frontu Narodowego. W ciągu ubiegłych trzech miesięcy Halin gościł ponad 75 księży ze wszystkich diecezji Polski, którzy wspólnie z naukowcami katolickimi i działaczami ruchu społecznie postępowego (w Dniach Społecznych udział brali m. in. ks. prof. Czuj, ks. prof. Huet, ks. prof. Chojnacki, ks. dr Radosz, ks. Mieczysław Suwała, Konstanty Lubiński, Wojciech Kętrzyński, Jan Dobraczyński) rozważali najistotniejsze problemy, jakie stają dziś przed katolikami w Polsce pogłębiając poprzez konfrontację swych poglądów i rzetelny wysiłek intelektualny motywacje ideowe naszego uczestnictwa w rewolucji socjalistycznej.

Chciałbym niniejsze uwagi poświęcić wszystkim uczestnikom Katolickich Dni Społecznych, których udział i wyteżona praca — bo tak trzeba nazwać wielogodzinne dyskusje toczące się nad referatami — umożliwiła nie tylko wymianę doświadczeń, ale wielokrotnie wносиła nowe twórcze elementy do naszych poszukiwań i rozwiązań. Nie sposób będzie, rzecz oczywista, metodą kronikarską przedstawić te wszystkie wypowiedzi, które zasługiwałyby na uwzględnienie. Trzeba je ugrupować i wyłowić problemy typowe, które powracają w dyskusjach i rozmowach. Ukażą nam one wtedy główne kierunki rozważań i atmosferę ideową spotkań na Katolickich Dniach Społecznych.

JAKI problem leży u podstaw wszystkich dyskusji i rozmów na Dniach Społecznych? Co stanowi o zasadniczym kierunku zainteresowań i poszukiwań? Odpowiedź narzuca się jednoznaczna. Wszystkie rozmowy wiążą jedną troską, aby niemiennie wartości światopoglądu katolickiego znalazły warunki do swego realizacji w nowym świecie. W tym prostym twierdzeniu zawiera się ogromna i głęboka treść.

Światopogląd nie jest wartością, którą można schować do szkatuły wraz z innymi cennymi rzeczami, nie jest teorią, którą trzeba tylko poznać. Światopoglądem trzeba żyć. Trzeba mu w życiu codziennym służyć. Światopogląd ma być siłą inspirującą wszelkie nasze działania i postawę. Dlatego właśnie tak ważne jest poznanie struktury światopoglądu katolickiego, odróżnienie jego wiecznych i trwałych zasad od tego, co tworzy człowiek, aby w określonych warunkach historycznych jak najlepiej służyć prawdzie wyznawanego światopoglądu. Tylko taka pogłębiona znajomość naszego światopoglądu pozwoli nam ujrzeć Kościół i doktrynę katolicką w jej podwójnym aspekcie: pozadoczesnym i jednocześnie głęboko związanym z życiem i doczesnością. Kościół nie wiąże się w sposób integralny z

nym ustrojem społecznym i politycznym, ale nie jest i nie może mu być obca sprawa wyzwolenia człowieka z ucisku i nędzy ani służba jego podstawowym celom doczesnym.

Światopogląd trzeba realizować. Wola w oparciu o rozum czyni wysiłek skierowania człowieka w stronę światopoglądu. Rozumieć współczesność, tzn. stwarzać warunki dla realizacji misji apostołowskiej Kościoła.

Oto dlaczego problemu perspektyw dla rozwoju Kościoła w nowej epoce nie można odrywać od głębokiego i pełnego rozumienia światopoglądu katolickiego i dlaczego wiązać go trzeba z rozumieniem sensu i ducha czasu, w którym żyjemy. Musimy pamiętać, że wielkie dzieło przebudowy świata może się dokonać bez chrześcijan, ale wtedy nie będą oni mieli żadnego moralnego prawa do zajęcia w nim miejsca. Jesteśmy niejako depozytariuszami wiecznej prawdy, ale tym większa spoczywa na nas odpowiedzialność, aby tej prawdy nie zakopywać w ziemię. Tylko wtedy, gdy wykazemy, że światopogląd nasz daje nam siłę do skutecznej walki o zmienianie oblicza ziemi, dawać będziemy pełne świadectwo naszej prawdziwości.

DRUGIM problemem, który zajmował centralne miejsce w dyskusjach, to zagadnienie ekonomiczne i gospodarcze naszego kraju. Nic dziwnego, że wielkość osiągnięć społeczno-gospodarczych Polski budzi zainteresowanie nie tylko od strony oglądanych skutków, ale i od ich źródeł. Z drugiej strony nieznajomość czy niedostateczna orientacja w procesach społeczno-ekonomicznych zachodzących w kraju, w prawach rządzących życiem gospodarczym, powoduje bardzo często niewłaściwe rozumienie i błędną interpretację kierunków naszego życia społeczno-ekonomicznego. Dyskusje nad zagadnieniami ekonomicznymi i gospodarczymi zwłaszcza nad żywotną sprawą rolnictwa, chociaż budzą najwyższe zainteresowanie, nie ograniczają się tylko do szczegółowych problemów gospodarczych, lecz stanowią zawsze punkt wyjścia do rozważań ideologicznych ustawiających nasz stosunek do dwóch realizowanych dziś praktycznie w skali światowej ustrojów — kapitalizmu i socjalizmu.

Dlaczego socjalizm? Jaka jest istota kapitalizmu? Dlaczego przyszłość należy do socjalistycznych rozwiązań społeczno-gospodarczych? Oto zasadnicze problemy, wokół których ogniskuje się dyskusja. Właściwe widzenie tych zagadnień jest istotne dla zapewnienia rozwoju misji Kościoła w epoce idącej ku socjalizmowi. U podstaw naszego optymizmu i wiary w przyszłość leży przekonanie oparte na gruntownej wiedzy, że socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy (jego istotne

elementy to: uspołecznienie środków produkcji, gospodarka na nową w skali krajowej, trocha (zapewnić dobrobytu każdemu człowiekowi) nie tylko nie jest sprzeczny z katolicyzmem, lecz przeciwnie, pozwala na realizację zasadniczych katolickich postulatów społecznych w sposób nieporównanie głębszy niż w ustroju kapitalistycznym.

„Kapitalizm — to, jak przypomniano w dyskusji słowa katolickiego autora Gustawa della Torre, zupełny rozdział między tymi, którzy dostarczają kapitał, a tymi, którzy przyczyniają się do produkcji jedynie swą własną pracą. Jest to byt o podwójnym obliczu, z których jedno przedstawia system zależności ekonomicznych z przewagą klas wyższych, podczas kiedy drugie ukazuje nam nieprawą działalność kapitału niegodziwego w swym pochodzeniu, niewspółmiernego w swym działaniu realizacyjnym i szkodliwego w swych skutkach. Prawdziwy to i rzeczywisty rak gospodarki społecznej, którego diagnoza odpowiada pod każdym względem diagnozie raka fizjologicznego. Kapitalizm nie posiada myśli, jest on bezbożny w swej strukturze. Złoto jest jego bogiem, a nie Ten, który ogłosił dla wszystkich dostęp do „złota”, zarówno do złota produktu ziemi i warsztatu, jak i do złota pochodzącego z własności i pracy. Kapitalizm jest bezbożniejszy niż w filozofii, której nie posiada, lecz w swej praktyce, która — nie jest to wcale grą słów, jest całą jego filozofią: praktyka niemasznych pożądań, lupiestwa, chciwości wszechwładzy, panowania”.

By wprowadzić katolickie postulaty w życie trzeba nie tylko mieć właściwy obraz kapitalizmu, trzeba nie tylko znać dobrze swoje zasady, ale przede wszystkim umieć walczyć o ich realizację, stwarzać warunki dla ich realizacji. Nie wystarczy powiedzieć, że sprawiedliwość i miłość to zasady, na których wspiera się katolicka koncepcja społeczna. Świadomość i miłość, to postulaty wypływające z Ewangelii, ale ich realizacja będzie dziełem wysiłku ludzi tworzących takie formy życia społecznego, które usuną ze stosunków ludzkich wyzysk, nierówność i poniżanie człowieka. Prawda naszego światopoglądu powinna budzić w nas nie tyle samouspokajające poczucie posiadania, lecz przeciwnie, budzić twórczy niepokój szukający nowych form wcielania tej prawdy w życie.

Katolicy przed wojną, mimo iż mieli pełne możliwości wprowadzenia swych pięknych zasad w życie, nie zrobili w tym kierunku niczego. Jeden z uczestników kursu przypominał nam kiedyś w toku dyskusji wypowiedź jednego z katolickich teoretyków społecznych mówiącą o zaniedbaniu katolików przedwojennych w Polsce. Odszukaliśmy tę wypowiedź i przytaczamy w tym miejscu jeden z jej fragmentów:

„Trzeba stwierdzić, że katolicyzm dotąd sprawy społecznej w praktyce nie rozwiązał. Obecny porządek społeczny (mowa o ustroju kapitalistycznym — przyp. red.) nie zapewnia bytu jednostce, nie gwarantuje jej nawet najprymitywniejszych praw, nie umie jej bronić przed wyzyskiem i krzywdą. Człowieka słabego zostawia bezbronny wobec ręki i niesprawiedliwości. Wystarczy stracić pracę, aby bezrobotny ojciec rodziny był zdany na łaskę i niełaskę twardego losu. Państwo też mu bytu i praw całkiem nie zapewnia, bo samo jest chore, staje się poniekąd tworem społecznie rozprzężonym i organizmem o zwichniętym kręgosłupie.

Działalność zaś katolicka jeśli się wysiła, to przeważnie na świadczenie miłosierdzia, na latanie dziur i samarytańskie nalewanie oliwy do otwartych już ran; społecznego zła nie uprzedza, nie zapobiega mu przez ustanowienie skutecznego porządku prawnego i zdrowych urządzeń społecznych. Choć katolicy widzą, że organizm społeczny przechodzi głębokie wstrząsy wewnętrzne, że brak mu wewnętrznej równowagi i silnego kośćca urządzeń, ograniczają swe wysiłki głównie do — zakładania angielskich plastrów na zwichnięty kręgosłup. Wprawdzie nie oni są przyczyną niesprawiedliwości, ale stali się niesłychanie tolerancyjni wobec nadużyć i wyzysku, niemniej tolerancyjni wobec systemów i urządzeń amoralnych w teorii, które w praktyce okazały się często wręcz niemoralne i szkodliwe. Wobec nich zdają się umywać ręce. Kto inny musiał się podjąć skutecznej obrony praw ludzi pokrzywdzonych. Jeśli obecnie żywot robotnika stał się znacznie znośniejszy, to nie mamy odwagi przypisywać katolikom wielkiej w tym dziele заслугi”.

W głośnym dziś artykule pisał I. N. Miller: „Wspięć się parobka dworskiego na jeden szczybel wyżej w hierarchii istnienia od zwierzęcia pociągowego do człowieka — zawdzięcza (on) nie ambonie kościelnej, która nad nim tysiącletnią sprawowała opiekę, lecz Związkowi Zawodowemu Robotników Rolnych”... Można, oczywiście, szukać różnych sposobów na wytłumaczenie tego faktu. My ich nie szukamy, wolimy poprzestać na twierdzeniu tej jak piętun gorzkiej dla nas, katolików, prawdy.

Często też wielu katolików rezygnuje z aktywności społecznej, stojąc jakby na uboczu wydarzeń i grając wygodną rolę widzów.

Zjawisko jest tym bardziej niezrozumiałe, że to właśnie katolicy stale głoszą i powtarzają, iż są w posiadaniu sekretu dziejów i poczynają społecznych. „Stajemy się każdego dnia — pisał E. Borne — coraz więcej podobni do magika, będącego w



Lato w całej pełni. Tysiące ludzi pracy udają się na wczasy po wypoczynek, zdrowie i... radość. Najpiękniej jednak spędza się je pośród uroczych, zielonych wzgórz i dolin Karkonoszy. Wielu także ludzi chorych leczy się w tym okresie w uzdrowiskach dolnośląskich, o których piszemy w reportażu Marka Staskiego na stronie szóstej.

Na zdjęciu: potok górski i schronisko „Perta Zachodu”.

posiadaniu eliksiru szczęścia, którym się innych ośniewa, ale żadnego zeń nie czyni użytku”.

Niejednokrotnie podkreślano już — lecz wniosek ten narzuca się w rozmowach naszych ciągle — że kierunki i tendencje rozwoju życia społecznego ludzi na całym świecie stwarzają nową historyczną szansę udziału świata chrześcijańskiego w budowaniu nowych sprawiedliwych form ustrojowych.

KATOLICY w Polsce nie chcą przepaścić tej szansy. Ruch społecznie postępowy podejmuje od początku swego istnienia trud uświadamiania katolikom ich zadań w nowych warunkach życia naszego kraju, od chwili swego istnienia staje się czynnikiem jednoczącym interesy narodu i Kościoła katolickiego w Polsce. Uczestnicy Katolickich Dni Społecznych to bądź aktywni działacze ruchu, bądź też ludzie zbliżający się i włączający w ramy tego ruchu. Nic więc dziwnego, że problematyka związana z historią ruchu, jego zadaniami i perspektywami jest przedmiotem nieustannych dyskusji. Chodzi tu nie tylko o wymianę wspólnych doświadczeń, chodzi o to, aby ujmując problem w perspektywie całościowej znaleźć potwierdzenie i argumentację dla słuszności swej postawy, elementy do rozwiązania swych trudności i wątpliwości.

Problem nie ogranicza się tylko do ruchu społecznie postępowego w Polsce. To, co się dzieje w Polsce jest fragmentem wielkich ideowych przemian, jakie rozwijają się na całym świecie. Trzeba znać sytuację ekonomiczną i polityczną na świecie, by zrozumieć sens dziających się wydarzeń, by umieć z nich wyciągnąć wnioski ideowe.

Czyż da się pojąć np. rozwój ośrodków katolickiego ruchu społecznie postępowego we Francji, ich wal-

ka, bez uświadomienia sobie całego kierunku polityki zagranicznej Francji prowadzonej przez chrześcijańską partię MRP?

Czyż nie daje wiele do myślenia sytuacja polityczna Włoch — kraju specjalnie interesującego katolika ze względu na obecność w nim Stolicy Apostołowskiej — w którym od zakończenia wojny rządy sprawuje partia chrześcijańska i demokracji?

Czyż wielka walka narodowa ludów kolorowych, która podnosi się na całym świecie, nie świadczy o dojrzewającym wszędzie procesie rewolucji społecznej domagającym się uwzględnienia w rachunku naszych rozumowań? Oto przykłady kierunków dyskusji obejmującej tę grupę zagadnień.

PRZEDSTAWIONE tu kierunki nie obrazują samego życia. Dyskusja — chociaż idzie po wytyczonych kolejach — częstokroć sięga do wszystkich argumentów na raz. Trudności nie dadzą się uogólnić. Wychodzą one często z subiektywnych przeświadczeń i upodobań — nieraz nawet nieświadomych. Trzeba każdej z nich wyjść na przeciw z pozycji jej najbardziej bliskich, aby po przez intelektualne dociekania rzucić światło na każdy problem, który staje się do rozwiązania.

Poprzez dyskusję, która jest zbiorowym wysiłkiem myśli szukającej prawdy można uchwycić klucz do współczesnej rzeczywistości w skali światowej, pogłębić motywację naszego uczestnictwa w przebudowie struktury stosunków społecznych na świecie.

Dyskusje na Katolickich Dniach Społecznych obracają się wokół zszeregowanych powyżej problemów przyczyniają się do podbudowania i scementowania postawy ideowej ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce.

ŚWIADECTWO ROZWOJU

UCHWALENIE przez Sejm PRL budżetu Państwa jest aktem o wielkiej doniosłości, ponieważ w państwie o naszym ustroju budżet państwa obejmuje niemalże całą gospodarkę narodową i stanowi decydujący czynnik w podziale dochodu narodowego.

Jednak znaczenie uchwały Sejmu z dnia 26.IV br., zatwierdzającej budżet państwa na 1954 r., jest szczególnie ważne z uwagi na jej ścisły związek z postanowieniami II Zjazdu, ustalającymi, jak wiadomo, zadania na rok bieżący i rok 1955, których wykonanie ma zabezpieczyć pełną realizację planu 6-letniego.

Budżet Państwa na 1954 r. stanowi zatem finansowy wyraz zadań, które w br. mają być wykonane. Środki finansowe mają umożliwić sprawny przebieg tych procesów materialnych, które są konieczne dla osiągnięcia ustalonych celów.

Z uwagi na związek budżetu państwa na 1954 r. z postanowieniami II Zjazdu, postaramy się w pierwszym rzędzie wyjaśnić, w jaki sposób budżet zabezpiecza realizację podstawowego zadania naszej gospodarki w okresie bieżącego dwulecia, a mianowicie przyspieszenia wzrostu stopy życiowej mas pracujących w mieście i na wsi. Następnie podkreślić pewne cechy charakterystyczne tego budżetu.

Jak wiadomo decydującym dla kształtowania się stopy życiowej jest stopień obciążenia dochodu narodowego funduszem akumulacji, a przede wszystkim kwotą inwestycji, która w naszych warunkach stanowi główną część tego funduszu. Budżet państwa na 1954 r. przewiduje zmniejszenie udziału inwestycji w ogólnej kwocie budżetu z 28,8 proc. w 1953 r. do 27,5 proc. Wprawdzie ta zmiana w procentach jest jeszcze nieznaczna, jednak biorąc pod uwagę fakt, że w inwestycje stanowiąca 70 proc. funduszu akumulacji (w 1953 r.), to w kwocie absolutnej stanowi ona pozycję, której nie należy lekceważyć. Nie tylko jednak tę zmianę należy wziąć pod uwagę przy udziale dochodu narodowego. Trzeba również podkreślić zmniejszenie się udziału w ogólnej kwocie wydatków budżetu takich działań funduszu konsumpcyjnego, jak obrona narodowa (z 10,8 proc. do 10,3 proc.), oraz bezpieczeństwo, wymiar sprawiedliwości i administracja (z 10,1 proc. do 9,6 proc.). Osiągnięte w wyniku tego zmniejszenia kwoty zwiększają środki, przeznaczone na ogólne podniesienie dobrobytu.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że w wydatkach na gospodarkę narodową, tj. na przemysł, rolnictwo, budownictwo, obrót towarowy, komunikację itd., wynoszących w ogólnej kwocie 53,6 mld zł, przeznaczono o wiele większe kwoty aniżeli w ub. roku na te działy produkcji dóbr i usług, które bezpośrednio wpływają na wzrost stopy życiowej. I tak np. wydatki na rolnictwo wzrastają o 38,2 proc. w stosunku do 1953 r., wówczas kie-

dy ogólna kwota wydatków budżetu (103,4 mld zł) wzrosła o 6,9 proc. w stosunku do wykonania za rok 1953. Jeszcze wyższą stopę wzrostu wykazuje kwota nakładów inwestycyjnych na rolnictwo. Kwota ta bowiem wzrosła o 47,8 proc. w stosunku do ub. roku, co pozwoli między innymi na rozszerzenie powierzchni użytków rolnych, przeprowadzenie nowych melioracji i zwiększenie parku maszynowego, a w szczególności ilości traktorów. Trzeba nadto podkreślić, że obok kredytów budżetowych wzrastają znacznie kredyty bankowe długoterminowe, z których również będą finansowane inwestycje rolnicze, zarówno w gospodarstwach spółdzielczych jak i indywidualnych.

Również wzrastają wydatki na produkcję przemysłowych środków spożywczych, co umożliwi budowę i rozbudowę zakładów przemysłu bawełnianego, dziewiarstwa, obuwniczego oraz przemysłu spożywczego. Dla poprawy zaopatrzenia ludności szczególnie znaczenie posiada przyznanie poważnych kwot na finansowanie wzrostu zapasów towarowych w handlu wewnętrznym.

Z uwagi na ciągłe jeszcze istniejące poważne trudności mieszkaniowe znacznie wzrastają kredyty na budownictwo mieszkaniowe. I tak kredyty na remont wzrastają o 56,6 proc. w stosunku do 1953 r., co pozwoli na wyremontowanie 711,7 tys. izb, a więc o 35,8 proc. więcej aniżeli w 1953 r. Kredyty na nowe budownictwo zapewniają dostarczenie 158 tys. izb, tzn. ca 17 proc. więcej aniżeli w 1953 r.

W ramach gospodarki komunalnej znacznie wzrastają wydatki na wodociąg, kanalizację, konserwację nawierzchni, meliorację miejskie, remonty w hotelach itp.

Obok zwiększenia wydatków na te działy gospodarki narodowej, które zapewniają wzrost produkcji towarów i usług materialnych bezpośrednio zaspokajających potrzeby konsumpcyjne, o wzroście dobrobytu decydują także również wzrost wydatków na cele socjalno-kulturalne. Wydatki na te cele wynoszące 25,3 mld zł (co stanowi ¼ ogólnej kwoty budżetu) wzrastają o 7,7 proc. w stosunku do wykonania w 1953 r. Zatem wzrost ten jest większy od wzrostu ogólnej kwoty budżetu.

W ramach tych wydatków szczególnie silnie wzrastają wydatki inwestycyjne. I tak w dziedzinie oświaty wzrost ten wynosi 32,4 proc., w dziedzinie kultury i sztuki 62,6 proc., w dziedzinie zdrowia i kultury fizycznej 34 proc.

Podniesienie stopy życiowej nastąpi nie tylko na skutek wzrostu produkcji towarów i usług oraz świadczeń socjalnych. Temu wzrostowi towarzyszyć będzie również obniżka cen oraz zwiększenie w niektórych grupach robotników i pracowników. Finansowym zabezpieczeniem tych operacji jest nadwyżka budżetowa, wynosząca ca 12 mld zł. Jak wie-

my, w dniu 1 maja nastąpiła pierwsza w tym roku obniżka cen (poprzedziła ją obniżka cen w listopadzie 1953 r.), która, jak oblicza się, podniosła dochody realne ludności o 6 mld zł w skali rocznej.

Należy podkreślić też przewidziany wzrost dochodu wsi i to zarówno rolników zrzeszonych w spółdzielniach produkcyjnych jak i pracujących indywidualnie. Wzrost dochodów rolników nastąpi na skutek działania następujących czynników: wzrostu produkcji rolnej (w wyniku zwiększonych nakładów), utrzymania obowiązkowych dostaw i podatku gruntowego na tym samym poziomie co w ub. r., podniesienia cen szeregu artykułów rolniczych przy dostawach na rzecz państwa oraz obniżki cen artykułów nabywanych przez rolników.

Powyższa ogólna analiza budżetu na 1954 r. wykazuje, w jaki sposób budżet zabezpiecza wzrost stopy życiowej ludności. Budżet ten jednak, zgodnie z postanowieniami II Zjazdu, zabezpiecza również dalszy rozwój przemysłu ciężkiego, będącego jak wiadomo warunkiem ogólnego rozwoju gospodarczego i wzrostu dobrobytu. Zmniejszenie procentowe udziału nakładów na ciężki przemysł na rzecz zwiększenia udziału nakładów na przemysł produkujący dobra konsumpcyjne zmniejsza dysproporcję pomiędzy rozwojem produkcji tych gałęzi. Jednakże absolutna kwota nakładów na przemysł ciężki nie ulega zmniejszeniu, zapewniając dalszy rozwój tego przemysłu.

Pozostałe wydatki obejmują wydatki na obronę narodową (10,8 mld zł), na administrację, wymiar sprawiedliwości i bezpieczeństwo (10,0 mld zł), obsługę długów państwowych (0,8 mld zł) i środki rezerwowe (3,3 mld zł).

Kwota przeznaczona na obronę narodową stanowi 10,3 proc. ogólnej kwoty wydatków budżetowych. Jest to kwota nieznaczna wobec olbrzymich wydatków zbrojeniowych niektórych krajów kapitalistycznych, jak np. Stanów Zjednoczonych, których budżet na 1954/55 przewiduje 68 proc. ogólnej kwoty na zbrojenia, lub Niemiec zachodnich, przeznaczających ponad 38 proc. w br. na ten cel. Jednak trzeba podkreślić równocześnie, że obronność naszego kraju spoczywa nie tylko w kwocie wydatków powyżej wymienionej na ten cel, lecz również w rozwoju gospodarczym kraju, a przede wszystkim w jego uprzemysłowieniu, w naszym sojuszu z potężnym ZSRR, w naszych przyjaznych stosunkach z krajami demokracji ludowych i Niemiecką Republiką Demokratyczną i wreszcie w potężnych siłach pokoju ogarniających cały świat i rosnących z każdym dniem.

Udział wydatków na administrację, wymiar sprawiedliwości i bezpieczeństwo w ogólnej kwocie wydatków obniżył się z 10,1 proc. do 9,6 proc. Trzeba nadto podkreślić, że oszczędności w dziale admini-

stracji mają wynieść w bieżącym roku budżetowym 200 mln. zł.

Wyrazem naszych osiągnięć gospodarczych są ustalone w budżecie dochody (113,4 mld. zł). One bowiem potwierdzają możliwość zrealizowania tych wielkich zadań, które postawił plan 6-letni. Możemy z dumą powiedzieć, że dziś stać nas na wykonanie tych zadań, przypominając sobie równocześnie czasy przedwojenne, kiedy to o ile mniejszych zadań nie byłimy w stanie zrealizować przy pomocy własnych środków, sięgając do pożyczek zagranicznych, które, jak wiadomo, obciążały nadmiernie gospodarkę narodową. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że 86 proc. (89,6 mld. zł) wpływów pochodzi z gospodarki uspołecznionej. I tu niewątpliwie kryje się tajemnica naszych wielkich możliwości. Bez upolśnienia środków produkcji nie do pomyślenia byłoby tak dynamiczny rozwój naszej gospodarki.

Na pewno nasze gospodarstwa społeczne wykazują jeszcze wiele braków i błędów, tym niemniej nie ulega wątpliwości, że stały postęp w ich sprawności pozwolił na dokonanie osiągnięć, o których w innych warunkach ustrojowych nie moglibyśmy marzyć. Podkreślając wagę gospodarki uspołecznionej równocześnie nie wolno nam w żadnym razie lekceważyć roli gospodarki indywidualnej, która wplaca do budżetu prawie 6 mld. zł. Znaczenia tej gospodarki nie można oczywiście ograniczać do wpłaty budżetowej, spełnia ona bowiem ciągle jeszcze ważne funkcje gospodarcze w naszym kraju. Chodzi tu przede wszystkim o chłopów pracujących indywidualnie, których gospodarstwa obejmują 82 proc. arealu ziemi uprawnej.

Osiągnięcie tak wysokich dochodów, jakie przewiduje budżet na 1954 r., jest zadaniem możliwym, lecz i niełatwym. Wymaga ono przede wszystkim wykonania planów produkcyjnych przy obniżeniu kosztów w rolnictwie o 3,2 proc., w przemyśle o 3 proc., w budownictwie o 3,2 proc., w rolnictwie i leśnictwie o 5,3 proc. Zasadniczym elementem tej obniżki musi być wzrost wydajności, który na robotnika grupy przemysłowej w 1953 r. wynosił 7,9 proc.

Jak wielkie znaczenie ma obniżka kosztów własnych, postaramy się zilustrować na kilku przykładach, podanych w toku dyskusji nad budżetem przez p. Frąckiewicza, kandydata na członka Biura Politycznego KC PZPR. „Poprzez lepszy wykrój i zmniejszenie ścieńki i odpadów o 1 cm z każdego metra przetwarzanych w naszym przemyśle odzieżowym materiałów mogliśmy uzyskać rocznie dwa miliony metrów tkanin i wyprodukować dodatkową ilość ubrań. Zmniejszenie zużycia stali tylko o 1 proc. pozwoliłoby w ciągu roku wybudować z zaoszczędzonego materiału siedem takich mostów jak most Śląsko-Dąbrowski w Warszawie. Zwiększenie wydajności poubojowej w rzeźniach tylko o 1 proc., co jest

w pełni wykonalne, dałoby krajowi dodatkowo 10 milionów kilogramów mięsa o wartości 200 milionów zł. Gdyby nasze cukrownie w bieżącej kampanii nie przekroczyły planowanej normy strat, to uzyskalibyśmy dodatkowo znow 10 milionów kilogramów cukru o wartości 120 milionów zł”.

Nawet jeden procent obniżki kosztów daje nam około miliarda złotych milionów złotych oszczędności. Za sumę tę można wybudować około 70 tys. dodatkowych izb mieszkalnych. W ciągu br. i 1955 r. zadania oszczędnościowe postawione przed naszą gospodarką mają dać dodatково, jak to stwierdził w swoim referacie na II Zjeździe Partii wicepremier Minc, ponad 20 miliardów złotych oszczędności.

Szczególne znaczenie dla przyspieszenia wzrostu stopy życiowej ludności mają budżety terenowe, tzn. budżety rad narodowych wojewódzkich, powiatowych i gminnych. Zadaniem tych budżetów jest przede wszystkim finansować te działania Państwa Ludowego, która dotyczy potrzeb materialnych i kulturalnych ludności.

Stawy rozwój budżetów terenowych świadczy o umacnianiu się demokracji naszego ustroju, ponieważ budżety te są szczególnie ważnym czynnikiem w przyciąganiu coraz szerszych rzesz ludzi pracy do udziału w rządzeniu państwem (art. 36 Konstytucji PRL).

Wydatki objęte w br. budżetami terenowymi wynoszą 13,7 proc. ogólnych wydatków. Wydatki budżetów terenowych wzrosły w ciągu ubiegłych czterech lat o 35 proc. Liczba ta nie obrazuje jednak pełnego znaczenia budżetów terenowych. Trzeba jeszcze wyjaśnić, że w dziale oświaty i wychowania budżety terenowe obejmują 87 proc. ogólnych wydatków Państwa, a w dziale zdrowia i kultury fizycznej 65 proc. Stworzone również podstawę dla szybszego rozwoju terenowej gospodarki przez utworzenie nie funduszu rozwoju przemyśle terenowego, przeznaczony na finansowanie niektórych inwestycji i kapitalnych remontów terenowych przedsiębiorstw przemysłowych.

Zwiększeniu ulega udział dochodów własnych w budżetach terenowych z 73 proc. w budżecie w 1953 do 89,1 proc. Na podkreślenie zasługuje poważny udział w dochodach podatkowych przedsiębiorstw terenowych, co oczywiście zwiększy zainteresowanie Rad Narodowych tymi przedsiębiorstwami.

Podsumowując powyższą ogólną analizę budżetu na 1954 r., można stwierdzić, że:

1. Budżet ten jest wyrazem silnego rozwoju gospodarczego naszego kraju.
2. Zabezpiecza na 1954 r. realizację zadań ustalonych na II Zjeździe.
3. Wykonanie budżetu wymaga świadomego i ofiarnego wysiłku całego narodu.

ZDZISŁAW UMIŃSKI

DECYDUJĄ ZAŁOŻYCIELE

wszysch wyniosła 6,3 q, podczas gdy w drugich tylko 3,1 q. Ponieważ obecnie głównym zadaniem naszego rolnictwa jest właśnie zwiększenie towarowości produkcji widzimy, choćby tylko z tego przykładu, że można je uzyskać przede wszystkim na drodze współdziałania wsi.

Droga mas chłopskich do gospodarki uspołecznionej nie zawsze jest łatwa. Nie jest ona łatwa w tym sensie, że wielu jeszcze gospodarzy nie potrafi zrozumieć, iż w spółdzielni uzyskuje się wyższe wyniki produkcyjne, wielu ulega podstępom kułackim, inni wreszcie czują lęk przed zbyt raptownymi zmianami. Boją się po prostu zbyt naglego przejścia do wspólnego gospodarstwa. Wielu chłopów jest, jeśli tak można powiedzieć, zwolennikami bardziej ewolucyjnych przemian: zamiast od razu zakładać spółdzielnię wyższego typu wolą — w pierwszej fazie — przystąpić np. do Zrzeszenia Uprawy Ziemi, stanowiącego najniższy typ spółdzielni produkcyjnej. Czy droga taka, którą kroczą względnie zamierzają zrobić część chłopów pracujących jest może niesłuszna? Oczywiście, że jest ona słuszna. Jakkolwiek bardziej sprężysta działalność gospodarza cechuje na ogół spółdzielnie wyższego typu, to jednak tam, gdzie przeważa opinia, aby zorganizować względnie przystąpić np. do wspomnianego już ZUZ-u — niewątpliwie jest to, obiektywnie rzecz biorąc, celowe i właściwe. W danym przypadku szkodliwie byłoby sztuczne forsowanie tworzenia spółdzielni wyższego typu, gospodarstwa uspołecznionego powstają bowiem na zasadach całkowitej dobrowoli ich założycieli. Oni też decydują o takim czy innym typie spółdzielni produkcyjnej.

Nim przejdziemy do krótkiej charakterystyki poszczególnych form spółdzielni produkcyjnych zatrzymamy się na chwilę nad zagadnieniem kontraktacji, będącej „pomostem” do uspołecznionych form gospodarowania na roli. To, że kontraktację można rzeczywiście określić mianem „pomostu do spółdzielni produkcyjnej”, wynika z tego, iż uczy ona chłopów bliższego współdziałania z gospodarką planową, stwarzając tym samym podstawy natury społeczno-gospodarczej

dla szybszego rozwoju uspołecznionych ośrodków rolniczych. Chłopi pracujący dzięki kontraktacji, a więc zacieśnieniu współpracy z organami terenowymi państwa ludowego, w konsekwencji łatwiej wkraczają na drogę socjalistyczną, zrywając z wpływami kułackimi, zatracając swoją dawną, niepostępową mentalność. Wpływ kontraktacji na rozwój spółdzielczości produkcyjnej potwierdza m.in. fakt, iż w północno-zachodniej części kraju — w której kontraktacja jest najbardziej rozwinięta — nastąpił najszybszy rozwój gospodarki uspołecznionej. Oczywiście też, że kontraktacja nie jest to wyłącznie decydującym czynnikiem. Niedocenianie jednak jej znaczenia, podobnie jak i innych środków wiodących wiś ku wyższym formom gospodarowania, jest niewątpliwie jedną z przyczyn hamujących szybszą przebudowę naszej gospodarki rolnej. Podobnie byłoby błędem gdybyśmy nie doceniaли, dając do wzrostu spółdzielczości produkcyjnej, niższych form gospodarstw uspołecznionych; również można by nazwać błędem gdybyśmy nie dążyli do jak najszybszego tworzenia, oczywiście w miarę jak pozwalają na to warunki, np. Rolniczego Zespołu Spółdzielczego, stanowiącego najwyższą formę zespołowej gospodarki.

Aby lepiej uwypuklić to zagadnienie, scharakteryzujemy występujące u nas cztery typy spółdzielni produkcyjnych.

*

NAJNIŻSZYM typem jest, wspomnianie już, Zrzeszenie Uprawy Ziemi. Chłopi łączą tu, dla wspólnej uprawy, tylko grunty orne. Zwykle grunty te łączy się na pewien okres czasu i dla wykonania określonych robót polowych. Plony zbiera się indywidualnie lub dzieli się proporcjonalnie do wniesionej przez każdego z członków ziemi. Inwentarz żywy i martwy członkowie wypożyczają zrzeszeniu za kwotę ustaloną na ogólnym zebraniu. Na podkreślenie zasługuje możliwość zespołowego nagromadzenia funduszu na cele inwestycyjne i kulturalne. Jest to swego rodzaju już z wyższą formą spółdzielni, którą jest Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza (typ II) i Rolniczy Zespół Spółdzielczy (typ III).

W spółdzielniach tych podstawowym elementem gospodarowania jest to, że zarówno ziemia, z wyjątkiem działki przyzagrodowej, jak sprzęż i inne podstawowe środki produkcji łączą się jako wspólna, społeczna własność i znajdują się w trwałym użytkowaniu spółdzielni. Trzeba jednak podkreślić pewne różnice statutowe, jakie występują między tymi typami spółdzielni. Otóż, na inwestycje produkcyjne i społeczne oraz na fundusz zapożyczeniowy spółdzielnie II typu przeznaczają 20% swoich dochodów niepodzielnych, a spółdzielnie III typu 30% tych dochodów. Natomiast, dzielony między członków dochód podzielnego spółdzielni II typu dzieli się według pracy, czyli na podstawie dniówek obrachunkowych, podczas gdy w spółdzielniach III typu tej formie podziału podlega jedynie 60% dochodu; pozostała część dochodu podzielnego rozdzielana jest w zależności od wkładu ziemi i inwentarza wniesionych do spółdzielni przez jej członków.

Wreszcie czwartym typem spółdzielni jest Rolnicze Zrzeszenie Spółdzielcze, stanowiące odmianę spółdzielni II typu. Różnica między tymi spółdzielniami polega w szczególności na tym, że w RZS członkowie zachowują nadal w indywidualnym posiadaniu inwentarz żywy i martwy i mają jedynie obowiązek wypożyczenia go spółdzielni za wynagrodzeniem, obliczonym według tzw. dniówki inwentarowej. Ponadto statut Rolniczego Zrzeszenia Spółdzielczego przewiduje, że 10 do 15% przychodu przeznacza się na inwestycje społeczne. Około 80% dochodu podzielnego dzieli się wg dniówek obrachunkowych i inwentarzewych, a 20% wg wniesionej ziemi.

Przyjrzyjmy się teraz rozróżnieniu tych spółdzielni w naszym kraju. Co jest to zjawiskiem szczególnie charakterystycznym? Jest nim przede wszystkim to, że o ile wyższe formy spółdzielczości produkcyjnej bezwzględnie przeważają na Ziemiach Zachodnich, o tyle niższe formy występują stosunkowo w znacznej ilości w Polsce Środkowej, jakkolwiek i tu nie stanowią one bezwzględnej większości. I tak np. w województwie łódzkim, według stanu na dzień 1.I.1954, spółdzielni

I typu było 21,4%, IIB (omawiany przez nas typ IV) 12,8%, II 23,1% i III 47,7%, to w województwie szlacheńskim odpowiednie liczby wynosiły: 1,3%, 4,7%, —, 94%. Bez względu przewaga spółdzielni trzeciego typu jak i w ogóle spółdzielczości produkcyjnej w województwie szlacheńskim tłumaczy się przede wszystkim tym, że na Ziemiach Zachodnich akcja osadnicza objęła przeważającą część dawnej biedoty, elementu klasowo najbliższego proletariatu. Równocześnie elementy kapitalistyczne w zasadzie nie rozwinęły się tu i nie uzyskały tego wpływu na wsi jaki mają jeszcze na ziemiach dawnych. Odegrało to poważną rolę również inny czynnik, mianowicie zerwanie z miejscem z konserwatywnym. Zdala od dawnych stosunków wytwórczych, ekstensywnych form gospodarowania, bez wpływu kułackiego siłą rzeczy musiano w nowych warunkach, aby zaspokoić własne potrzeby, pracować możliwie najwydajniej nie oglądając się na stare przyzwyczajenia i nawyki. Wkrótce przekonano się o wartości zespołowego gospodarowania i właściwie problem spółdzielczości na tych ziemiach przestaje istnieć jeśli chodzi o jego aspekt ilościowy. W wielu bowiem powiatach w około 80% gromad istnieją już spółdzielnie produkcyjne.

Nieco inaczej przedstawia się sytuacja w centralnej i wschodniej Polsce. Spółdzielczość rozwija się stosunkowo wolniej, przy czym więcej tu niż na zachodzie spółdzielni niższego typu, jakkolwiek w bezwzględnych liczbach przeważa wyższy typ gospodarstw uspołecznionych. Przyczynami słabszego rozwoju spółdzielczości produkcyjnej w tych rejonach są zjawiska występujące w odwrotnym kierunku aniżeli na Ziemiach Zachodnich: a więc znaczny jeszcze wpływ bogaczy wiejskich, trwanie przy dawnych formach uprawy itd. Dlatego też, szczególnie właśnie na tych ziemiach należy doceniać tworzenie spółdzielni niższego typu. W wielu przypadkach chłop musi być to poddany zabiegowi obliczonemu na dłuższą metę. Stopniowo zrozumie on, że jest mu lepiej. Wtedy nie trzeba go będzie zachęcać, on sam bowiem stanie się, tak jak to już niejednokrotnie miało miejsce, propagatorem Nowego,

Gzas równania kroku

Najnowszy numer „Nowej Kultury” (Nr 26 z dnia 27 czerwca 1954) przynosi dalsze referaty i wypowiedzi z VI Zjazdu literatów wraz z tekstami podsumowujących dyskusji, dokonanymi na Zjeździe przez Kazimierza Brandysa i Leona Kruczkowskiego. Z tego obfitego i interesującego materiału, jaki zamieściła nie tylko w tym, ale i w poprzednich numerach „Nowa Kultura”, należy wyróżnić artykuł redakcyjny, opublikowany w cytowanym powyżej numerze, zatytułowany: „Równanie kroku”. Zawiera on oprócz rekapitulacji obrad Zjazdu i dokonania syntezy najważniejszych wniosków szereg cennych sformułowań, które — tak chyba należy je rozumieć — należy uznać za wyraz nieogłoszonej rezolucji pisarzy polskich.

Z tym większym zadowoleniem dostrzegamy w artykule redakcyjnym „Nowej Kultury” podjęcie postawionej na dyskusji zjazdowej przez członka kolegium redakcyjnego naszego piśmnia, Zygmunta Lichniaka, sprawę współdziałania i twórczego wkładu w dzieło socjalizmu i pokoju ruchu katolików społecznie postępowych.

„Obecny Zjazd — czytamy m. innymi w tym artykule — drugi z kolei zjazd warszawski, który zebrał się po czterech równoległych zjazdach warszawskich, miał już po sobie wiele ideowych przemyśleń i decyzji, a za swój przedmiot — większą uwagę sumę doświadczeń i rozstrzygnięć artystycznych. To co w naszej literaturze nabrzmiewa stopniowo, z większą ostatnio siłą, na Zjeździe wystąpiło w wyjątkową jasność; prawdziwe zaangażowanie pisarzy w dzisiejsze losy narodu (tych również pisarzy, którzy do niedawna okazywali wobec niego wiele rezerwy), dojrzałe zrozumienie powołania literatury w chwili historycznej, kiedy decydują się losy naszej planety i przyszłość naszego narodu. Zbratanie pisarzy różnych niegdyś przekonań, pisarzy różnego doświadczenia, dorobku i wieku we wspólnym dziele świadczą jak głęboko uwągliweli w środowisko piarskie idee socjalizmu.

Procesy, o których tu mowa, nie ominęły także pisarzy innego poglądu na świat, pisarzy-katolików. Jeden z nich (mowa tu o wystąpieniu na dyskusji Zygmunta Lichniaka, którego przemówienie drukowaliśmy w Nr 25 „Dziś i Jutro” — przyp. komentatora) szlachnie ubolewał na Zjeździe nad przemierzaniem w prasie marksistowskiej i w Związku Literatów wysiłków postępowych pisarzy katolickich. W środowisku tym nastąpiły i następują poważne przemiany, które na zlekceważenie lub neutralność nie zasługują. W ciągu dziesięciolecia powstała sytuacja paradoksalna. Kiedy katolickim polski był głównym bastionem społecznego ciemnogrodu, toczyliśmy z nim zżarte boje; kiedy w poważnej swej części wyłamał się spod władzy ciemnogrodu, zostały jakby w naszym życiu literackim spalone mosty. A przecież przywiązujemy znaczenie do tych przemian, dzięki którym jednoczą się nasze wysiłki przy budowie socjalizmu, w walce o pokój. Fakturywa to byłaby solidarności, która wiedząc, co nas łączy, pomijałaby milczeniem to, co dzieli. Z trwałego gruntu porozumienia nie sprostawać nas bodaj najostrożniejsze dyskusje i starcia w sprawach filozoficznych czy artystycznych. Ale współpraca intelektualna — to jeden tylko aspekt zagadnienia.

Istnieje też inny, i to znacznie poważniejszy. Nie wolno nam zapominać, że na owych mostach wspierających się na wspólnych zadaniach społecznych, mostach między postępowymi kołami katolicyzmu a marksizmem trwa ciągły ruch, że po nich błąka się spora część naszego społeczeństwa, naszej młodzieży. Dlatego szlachny apel katolickiego krytyka o zerwanie z traktowaniem tych kół jako swoistego partykulara, przypomniał nam również o potrzebie baczniejszego, aktywniejszego kształtowania opinii o tych zjawiskach literackich z naszych pozycji”.

Słowa zobowiązują. Rozumiemy to w tym znaczeniu, że słowa wartości i cenne, jakie padły na Zjeździe, zobowiązują zarówno nas, twórców katolickich, pisarzy i publicystów, którzy swą postawą społecznie postępową dajemy wyraz wspólności drogi do socjalizmu wraz z pisarzami i twórcami marksistowskimi, jak również zobowiązują prasę marksistowską i Związek Literatów. Na tym polega zerwanie mostu nad rzeką, mostu — o którym pisze „Nowa Kultura”, a który stanowi nie tylko symbol wspólnego wysiłku przeciwstawienia się wojnie, zacofaniu, krzywdzie społecznej, ale winien stać się trwałym fundamentem jedności całego narodu przy budowie socjalizmu i w walce o pokój.

KOMENTATOR

PAMIĘTNIK PRZEOBRAŻONEGO KANONIKA

(Na marginesie książki D. Pezerila „Uliczka Notre Dame“)

TA mała, w wydaniu „Paxu“ niemal kieszonkowego wymiaru, książeczka jest książką dużego formatu intelektualnego. Jej autor, ks. Daniel Pezerila, który był i spowiednikiem Bernanosa, i przyjacielem Mouniera, a także (niechętnie ze względu na swoją bojowość widzianym przez kardynała Feltra) proboszczem paryskiej parafii św. Seweryna i założycielem „Communauté des prêtres de Saint Severin“ oraz konsultantem religijnym miesięcznika „Esprit“ — okazał się również niezwykle ciekawym, głębokim i prawdziwie uzdolnionym pisarzem. Jego pozornie miniaturowa książeczka, napisana w formie wspomnieniowych zapisków starszego już kapłana, jest czymś w rodzaju pamiętnika mieskiego proboszcza, który podniesiony do godności kanonika kapitulnego, a wycofany z czynnego życia parafii dostał „na pocieszenie“ stalle, by „ulokować na niej wygodnie swoje siedemdziesiąt osiem lat“.

Pamiętnik kanonika Serrurier, starca dochodzącego osiemdziesiątki, nie ma w sobie nic z wodolejskiego gładzenia gaduły, który w osamotnieniu chciałby zanudzić innych beznadziejną spowiedzią ze swego życia. Czytając zapiski emerytowanego proboszcza z Sainte-Julie, nabieramy szacunku dla jego inteligencji, ciągle żywej błyskotliwości, ciągle chwytliwego umysłu, nie słabnącej wery intelektualnej, nie stopionego krytycyzmu, w którym jest miejsce nawet dla zdrowych, mądrych, bo zawsze konkretnie uzasadnionych akcentów antyklerykalnych, a właściwie — antykruchtotych, antyżaciankowych.

Gdyby nie wiek i nie miejsce zamieszkania, któryś z naszych działaczy terenowych mógłby go ujrzyć oczyma wyobraźni jako twórczego i bardzo szanowanego partnera w rozmowach np. na temat Komisji Katolickich Duchownych i Świeckich Działaczy przy Komitetach Frontu Narodowego lub np. na temat ruchu katolików społecznie postępowych. Książka kanonika Georges Serrurier ukazuje się poprzez swój pamiętnik jako kapłan z otwartą głową, inteligentny, aktywny wewnętrznie, zdolny do rozumienia przemian świata.

Jednocześnie imponuje walecznością, antyfałszywymi realizacją swoich przeżyć religijnych. Jest kapłanem wierzącym w Boga w sposób zobowiązujący do maksymalnej rzetelności uczuciowej i intelektualnej. Nie ma w jego wierze żadnych landrynkowych słodkości, nie ma letniej limonady sztucznych wrzesań. a w jego kapłaństwie nie ma nic z urzędniczością, z administrowaniem duszami, z biurochryścianizmem.

Religijność kanonika Serrurier — wolna od wszelkiej sztuczności dewocyjnej, a chwilami nawet zabarwiona typowym dla inteligentnych kapłanów odcieniem pewnej poufałości, lecz zawsze szacunku pełnej, swobody wobec form kultu — jest żarliwą religijnością człowieka w pełni oddanego Bogu. Cenimy w kanoniku Serrurier gorącą treść jego wiary, chociaż widzimy wszystkie ludzkie słabostki, ludzkie pomyłki, chociaż widzimy czcigodnego kanonika w sytuacjach nie zawsze najwyższej powagi.

Książka kanonika Serrurier jawi się przed nami bez konwencjonalnych obsłonek, bez literackiego bontu, rozmawiamy z nim i obcujemy poza pisarskim savoir-vivrem, poprzez jego pamiętnik wchodzimy niejako (oczywiście nie w kłopotach) i do jego duszy i do jego sypialni. Widzimy, jak w duży swojej — w pewnym momencie nagłe olśniewione — rozumieniem nowych prawd — ks. kanonik przemienia się i doskonali. Widzimy, jak w sypialni swojej walczy z nieatrakcyjną, starczą chorobą pęcherza. Patrzymy na niego, gdy korzy się — podobny nieznanemu świętemu — we wspaniałej modlitwie dziękczynnej i błagalnej zarazem. Patrzymy na niego, gdy w śmieśinie długiej kosiuli nocnej usiłuje złapać gryzącą go pehlę. Czytamy w jego zapiskach o przeobrażeniach kapłańskiej wizji powołania. Czytamy w jego zapiskach o konfliktach, smażonych z gospodynią Adela i o niedyspoczytej żonadka.

Czy książka kanonika Serrurier epatuje nas tym (jakby ktoś chciał powiedzieć: brutalnym) przemieszaniem wzniosłości z powszedniością? Nie. Książka kanonika Serrurier jest po prostu szczerą, zdobywa tą szczerością, nakazuje tą szczerością przyjąć wobec swojego pamiętnika jedyną możliwą postawę: postawę całkowitego zaufania, postawę całkowitej wiary w jego prawdziwość, postawę przeżycia tego pamiętnika tak, jak przeżywa się prawdę człowieka, który miał odwagę i siłę mówić o niej publicznie.

To zaufanie do pamiętnikowej relacji potrafi ks. kanonik — niejako niezależnie od swej woli — pogłębić właściwą mu zdolnością nie tylko ukazywania bez pruderii i bez pychy swoich zalet, lecz także zdolnością krytycznej autoanalizy, zdolnością ośmieszania czy demaskowania własnych słabości jeszcze w tym ich stadium, w którym wydają się wartościami dodatnimi, cechami pozytywnymi.

Wierzymy temu, co pisze dawny proboszcz Sainte-Julie, bo potrafi — będąc człowiekiem prawdziwie pokornym — pisać chwila mi megalomańsko, bo potrafi — daleko od zryżliwości wobec ludzi — kłócić się z nimi i polemizować a nawet ostro ich oceniać na kartach swojego pamiętnika, bo potrafi — obcy pokusom taniego efekciarstwa — grzeszyć przelotnie ładną miłością do paradoksu czy efektownych zestawów zdaniowych. Jest ukochnością bliźniego pełen, a jednocześnie chwilami kwaskowato-kostyczny. Jest pełen adoracji Boga, a jednocześnie filuternie, niezczemu i nikomu nie uchybiając, potrafi powiedzieć na ten temat coś żartobliwego. Jest bliski szlachetnej ascezy wewnętrznej, a jednocześnie przeżywa, co prawda marginalnie, lecz intensywnie, spory z nieznosną Adela, cieszy się także w czasie upałów, że wolno mu nie nosić koloratki...

Charakterystykę można by cieniować bez końca, delektując się subtelną grą dyskretnych półtonów i ówieretnów.

Nie o charakterystykę tu chodzi. Ważny jest wynikający z niej

wniosek: przedstawiony nam przez księdza Daniela Pezerila ksiądz kanonik Georges Serrurier zdobywa pełny kapitał zaufania czytelnika. I nie jest to wypracowanie kapitału ufności na kredyt fikcji literackiej. Jest to lokata uzasadniona całkowicie wypłacalnością artystyczną, psychologiczną, prawdziwą dziełką. Wierząc w prawdę postaci byłego proboszcza w Sainte-Julie, musimy wierzyć, chcemy wierzyć i wierzymy bez wahań w prawdę centralnego problemu tej postaci.

Może to brzmieć brutalnie, ale — choć z pewnym uproszczeniem — powiedzieć trzeba, że ten problem, a nie kanonik kapituły jest istotą książki Pezerila. Mądry pisarz wiedział jednak, że biada problemom, które chcą występować w dziele przede wszystkim jako problemy, a nie jako sprawy ludzkie, sprawy sumienia, intelektu i serca konkretnego, konkretnie prawdziwego człowieka. Problem „Uliczki Notre-Dame“ jest zwycięsko prawdziwy i przekonujący prawdziwością postaci księdza kanonika Serrurier. Takie jest prawo chyba każdej dobrze napisanej książki, takie jest prawo sztuki pięknego pisania o sprawach ludzkich. Dlatego należało mówić o artystycznym dokonaniu Pezerila, polegać na pełnym wyposażeniu ludzkim głównego bohatera książki. Uzasadnia ono i pogłębia pełne przeżycie artystyczne i intelektualne głównego problemu książki. Bez tak ukazanego bohatera problem ten byłby tylko suchą hipotezą intelektualną. Dzięki jego pełności jest żywą treścią ideową.

Wszyscy czytelnicy książki Pezerila powinni problem ten ujrzyć w całej jego ostrości i ważności. Jest to — zaryzykujemy umowną nazwę — problem przeobrażającego się w historii współczesnych ruchów społecznych typu kapłana, wiernego misji apostołatu wśród klas walczących o społeczną sprawiedliwość. Takie określenie głównego problemu książki Pezerila jest tylko ogólnym określeniem i to określeniem trochę etykietkowym. Ważniejsza od nazwy jest treść ideowa tego problemu. Wydobądźmy ją z pamiętnikowych zapisków księdza kanonika Serrurier.

Siedząc w swojej emeryckiej stali, zastanawia się on, czy w kilkudziesięcioletniej służbie kapłańskiej był dobrym duszpasterzem. Przy zrozumieniu wszystkich swoich słabości ma w ramach swoich wyobrażeń uzasadnione przekonanie, że służbę spełnił w sposób właściwy. Był energicznym proboszczem, lubianym spowiednikiem, twardym opiekunem młodych wikarych, szanowanym ojcem duchowym parafian. Przeszedł drogę służby kapłańskiej tak, jak wszyscy uczeuli, pracujący nad sobą i pracujący dla ludzi księża minionych pokoleń. Rozmawiając ze współtowarzyszami kanonickiej emerytury, z księdzem Epinettes, z księdzem Delmas, czy wielkim proboszczem księdzem Palerme z Aubervilliers — znajdując w nich potwierdzenie siebie, potwierdzenie ustalonego tradycją pokoleń — a może nawet stuleci — typu solidnego kapłana, przeciętnie uwarunkowanego wszystkimi po-

zytywnymi i negatywnymi cechami swego stanu.

W spokojny rozrachunek księdza kanonika Serrurier z przeszłością duszpasterską księdza proboszcza Serrurier wkacza nagle zrozumienie spraw dawniej niedocenianych, coś w rodzaju objawienia nowych, poszerzonych obowiązków kapłana, coś w rodzaju nowej, poszerzonej odpowiedzialności duszpasterskiej. Nowej — dzięki wyraźniejszemu uwzględnieniu czynnika konfliktów społecznych i krzywdy społecznej. Poszerzonej — o potrzebę realnego, konkretnego sojuszu głosiciela Ewangelii z klasą uciskaną, przesła-dowaną, walczącą o sprawiedli-wszy, wolny od krzywdy społecznej świat. Konfrontacja starego typu kapłana z nowym, bardziej misyj-narskim typem księdza, rozumieją-czego wielki nakaz dzisiejszej epo-ki — doprowadza do rewizji spoj-kojnego dawniej samozadowolenia księdza kanonika Serrurier.

To nowe wtargnęło do jego życia — życia, nad którym polo-żył się już cień zmierzchu — po-przez młodego księdza Roberta. Książka Robert, który wybrał sobie dawnego proboszcza z Sainte-Julie na spowiednika, otwierając przed starszem swoją duszę, otwiera przed nim jednocześnie nowe perspektywy rozumienia sensu pracy kapłańskiej. Robert jest księdzem — misjonar-zem. Mieszka wśród robotników. Żyje ich życiem, żyjąc równocześnie życiem Kościoła. Uczestniczy w ich walce. Chryścianizuje ich bunt przeciw krzywdzie, stając zdecydowa-nie po stronie zbuntowanych i skrzywdzonych, a przeciwnie prze-moż krzywdzicieli. Jest tym kap-lanem, który nakaz apostołstwa potrafił przetłumaczyć na konkretny obowiązek sojuszu z historią przeobrażenia świata krzywdy spo-łecznej na świat społecznej sprawie-dliwości, z historią przeobrażania świata skostniałych kanonów obojętności wobec przemian na świat dynamicznych, rozwojowych, regulujących stosunki między-ludzkie. Książka Robert pojmuje swoje zadania w sposób daleki od takich deklaracji, daleki od lewackiej nadgorliwości, płytkiego pod-skakiewczostwa czy kokieterii wobec klasy robotniczej, pojmuje swoje zadania w sposób, wymaga-jący trudnego przelomu jego wła-snej osobowości, przelomu tych kap-lanów, którzy muszą ujrzyć w je-go drodze i w drodze jemu podob-nych ślask odrobienia wielowieko-nych, drogo kosztujących i Koś-ciół, i ludzkość zaniedbań.

Stary kanonik Serrurier taki, jakim go poznaliśmy i szanujemy, to znaczy: szczerzy, mądry, do głębi uczciwy i żarliwie pojmujący swoje kapłaństwo, musiał znaleźć się w kręgu oddziaływania prawdy przeżywanej i realizowanej przez młodego księdza Roberta. Jako czło-wiek z otwartą głową, jako kapłan z gorącym sercem musiał uznać tę prawdę za bardziej zwycięską od swojej tradycjonalistycznej, kon-wencjonalnej i mimo wszystko sta-tycznej postawy doświadczonego proboszcza z Sainte-Julie.

Powolna, piękna, spóźniona, a na-wet w ostatecznych konsekwen-cjach nie mogąca się już — ze względu na starczy wiek kanonika (dokończenie na str. 5)



Rafael Santi — Madonna

ZDZISŁAW ŁĄCZKOWSKI

LITANIA DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY

Któraś poczęła

z Ducha Świętego

Lilio cierpienia —

między różowe noce Libanu

gdzie błękitem Twej stopy

zroszona ziemia

a sen ciche wieczory

w kwitnące łądzie iabłoni

przemienia —

przeniesze

smutniejsze

niż uszkie drzewa.

Jam jako krzew jarzębiny

którą samotny pastuszek

na lipowym flecte wypiewoż

a zły wiatr

już w południe złamał.

Któraś stała

pod krzyżem Bolesna

Wszecpośredniczko łask

Maryjo!

zabierz moje serce

zzięble od rosy porannej

i napelił modlitwą żarliwszą.

Otrząśnij z wiewdłych liści

mój pociemniały krzew

Maryjo! Błogostawiona —

otwórz moje oczy

które sen uspił

bo usta mam pełne

słonecznego pyłu dnia

a włosy mokre od zieleni

nocy.

Myśl moja w Tobie...

prowadź przez pustynię

spełaną jak moje wargi.

Najczystsza światłości

Kłosie pszeniczny

Łodzi z koralu

Kolebko dobroci

Córko Joachima

Matko Jezusa

Panno nad pannami

Święta Boża Rodzicielko

Módl się za nami...

MICHAŁ NOWACKI

Z ZAPISKÓW AMBASADORA

EMERYTOWANI dyplomaci francuscy mają predykcję do pisania wspomnień z czasów swej działalności zawodowej. Ułatwia to im zakorkony zwyczaj tworzenia osobistych archiwów z odpisów dokumentów oficjalnych, przechodzących przez ich ręce w trakcie urzędowania. Z tej racji ogłaszane przez nich książki nabierają pewnej wartości wydatności zdołań, chociaż zbyt często podawana synteza opisywanych wypadków cierpi i na powierzchowność ujęcia i na tendencyjność oświetlenia.

Zaraz po wojnie — ostatni przed 1939 r. ambasador francuski w Warszawie, Leon Noel (dziś deputowany gaullistowski w parlamencie francuskim), ogłosił znaną swą książkę-pamiętnik: „Agresja niemiecka na Polskę“, poświęconą polityce zagranicznej rządów sanacyjnych w latach 1935 — 1939. Dziś jego poprzednik — Jules Laroche — dyskontuje poczytność wśród publiczności francuskiej wszelkiej literatury dotyczącej problematyki okresu międzywojennego, aby dać nam również szkic polityki polskiej z czasów swej pracy dyplomatycznej w Warszawie.

Tak się złożyło, że Laroche, który piętnaście lat pracował w ambasadzie francuskiej w Rzymie, a potem był dyrektorem departamentu politycznego na Quai d'Orsay, został mianowany ambasadorem w Warszawie na miesiąc przed przewrotem majowym 1926 r., opuścił zaś Polskę (przeniesiony do Brukseli) w parę dni po pogrzebie Pilsudskiego. Przez dziewięć lat był więc on oficjalnym obserwatorem polityki polskiej i właśnie tym problemem poświęcił wydaną w roku zeszyt książkę „Polska Pilsudskiego.“

Ciekawy temat i stanowisko autora, który miał możność stałego kontaktowania się z czołowymi przedstawicielami rządów pomajowych, wywołują nadzieję, że czytelnik zna-

leże może w książce rewelacyjne oświetlenie zagranicznej polityki sanacji, a w każdym razie — szereg nowych, nieznanych faktów, które pozwoliłyby mu na lepsze zrozumienie tej problematyki. Tymczasem odkłada się te Pamiętniki z dużym rozczarowaniem. Okazuje się, że służna była opinia, którą pozostawił po sobie w Warszawie Laroche: przyjemny i kulturalny starszy pan, urzędujący wykwalifikowany, przyjmowany z otwartymi rękami w salonach arystokracji, lecz bardzo słaby polityk traktujący powierzchownie, aby nie powiedzieć naiwnie, obserwowane wypadki i nie rozumiejący istotnego znaczenia ani zjawisk międzynarodowych, ani życia polskiego.

Był to typowy przedstawiciel tradycyjnej dziewiętnastowiecznej dyplomacji, która operowała na powierzchni życia politycznego uwzględniając tylko zewnętrzne objawy, drobne komeraże i intrygi, grę drogowalnych ambicji rywalizujących między sobą dyplomatów, a nie starała się rozpatrywać wielkich problemów gospodarczo-społecznych i zrozumieć ich decydującego wpływu na kształtowanie się sytuacji międzynarodowej. Ten typ mentalności występuje w całej pełni w pamiętnikach Laroche'a, a ściślej mówiąc — w jego raportach wysyłanych z Warszawy, na których podstawie napisał on swą książkę.

Autor, który zadał sobie przecież trud zupełnie poprawnego opanowania języka polskiego, widział życie naszego kraju przez pryzmat swych salonowych rozmów, a cenę polityki zagranicznej sprowadził do interpretowania formułek i frazeologów, z których pomocą była ona przedstawiana na zewnątrz, na podstawie indywidualnych cech, gustów i skłonności jej kierowników. Dla niego kluczem do zrozumienia akcji dyplomatycznej rządu polskiego jest awanturzysta przeszłość Pilsudskie-

go, sybarytyzm i kompromisowość Zaleskiego lub brutalna „prestizowość“ Becka.

Laroche bierze za dobrą monetę zapewnienia wszystkich rządów państw kapitalistycznych o swych rzekomo pokojowych intencjach, natomiast skłonny jest dopatrywać się w Związku Radzieckim tendencji do agresywnego szerszenia siłą zbrojną swej ideologii, zwłaszcza w Europie. Problem mobilizowania przez imperialistów światowych sił faszystu hitlerowskiego do walki ze Związkiem Radzieckim wygląda w jego oczach jako rozgrywka o warunki legalizacji zbrodni niemieckich. Zwazywszy, że mogły one być niebezpieczne dla sąsiednich państw, trzeba było — jego zdaniem — szukać zabezpieczenia w postaci zmocnienia „równowagi europejskiej“ przez wciągnięcie do gry dyplomatycznej Związku Radzieckiego. Laroche ma trochę za złe Polsce Pilsudskiego, że utrudniała Francji realizację tego celu, ale powody tego stanowiska widzi tylko w nieliczeniu się dyplomacji francuskiej z drażliwą prestiżowością strony polskiej. Głosi w swych konkluzjach, że można było tego uniknąć i wówczas zapanowałaby w Europie euforyjny spokój.

Jeżeli w ten sposób Laroche traktuje będące punktem wyjścia całokształtu polityki międzywojennej walkę obozu imperialistycznego z siłami postępu i demokracji, reprezentowanymi przez Związek Radziecki, to nie dziwne, że w krzywym zwierciadle podaje obraz polityki zagranicznej rządów sanacyjnych z czasów życia Pilsudskiego. Urzeczywielony lukrowaną karykaturą zarówno stosunków polsko-niemieckich i polsko-radzieckich, jak i sytuacji na odcinku polsko-francuskim.

Oto reasumpcja tych wywodów w końcowym rozdziale książki Laroche'a.

Berlinem, które nie daly wówczas pozytywnych rezultatów wyłącznie z winy Rzeszy Weimarskiej. Na tym tle stosunki polsko — francuskie rozwijały się zupełnie poprawnie. Jednakże wielki światowy kryzys ekonomiczny i doświadczenia hitlerowców do władzy skomplikowały sytuację europejską, a Pilsudski uznał ten moment za dogodny, aby dać Polsce stanowisko w Europie zgodne ze swym wyobrażeniem o jej siłach. Był zaniepokojony perspektywą rozwoju sprawy rozbrojenia w Genevie, toteż — wiedząc, że głos jego nie będzie tam wysłuchany — chciał pokazać, że trzeba się z Polską liczyć. Jego początkowe pobrzeżkiwanie szabelką pod adresem Berlina, a następnie etapy zbliżenia polsko-niemieckiego, były bezpośrednim refleksem rozmów w sprawie legalizacji zbrojnej, prowadzonych z Niemcami przez wielkie mocarstwa bez udziału Polski. Ta niedogodna dla Francji polityka Pilsudskiego oraz metody jej realizacji zacięły wówczas poważnie na stosunkach polsko-francuskich.

Zdawało się — ciągnie dalej Laroche — że wizyta ministra Barthou w Warszawie poprawi te stosunki, lecz nie doszło do tego wobec starcia rządu francuskiego zbliżenia się do Związku Radzieckiego w obliczu niebezpieczeństwa hitlerowskiego. Francia chciała to polaryzować z utrzymaniem sojuszu polsko-francuskiego i dlatego zaproponowała pakt regionalny z udziałem Polski i Związku Radzieckiego, znany pod nazwą Paktu Wschodniego. Jednakże Pilsudski obawiał się, że granic kartę rosyjską Francia zlecewał sojusz z Polską i z góry odrzucał ewentualność współpracy wojskowej polsko-radzieckiej. Jego upór pogarszał coraz bardziej stosunki polsko-francuskie, toteż wreszcie Francia zawarła bilateralny pakt ze Związkiem Radzieckim, którego tak obawiała się sanacja, będąca przedstawicielem ziemianstwa i wielkich przemysłowców. Oficjalne przekonanie remilitaryzacji Niemiec mogło stworzyć podstawę do zmiany przez Polskę swego stanowiska wobec Francji i jej polityki, lecz w chwili gdy Laval przyjechał do

Warszawy, aby uzgodnić z Pilsudskim, dyktator Polski umarł. Spadek po nim objął Beck, całkowicie przekonany zwolennik współpracy z Hitlerem, entuzjasta faszystu włoskiego i przeciwnik Francji. Zdaniem Laroche'a — sprawą, która zaważyła decydująco na stosunkach polsko-francuskich i polsko-niemieckich, był stosunek Francji do zbrodni hitlerowskich, stosunek, który musiał być ugodowy w wyniku konieczności liczenia się Francji z jej sojusznikiem brytyjskim.

Wszystko w tym obrazie jest opacznie poprzestawiane i fałszywie naświetlone. Rzeczy istotne zostały odsunięte na drugi plan, a posunięta taktycznie — podniesione do rzędu zasad kierujących. Wiadomo, że głównym motorem polityki sanacji, a więc i Pilsudskiego, było nastawienie antyradzieckie i chęć ekspansji na Wschód. W tym celu szukała ona dla siebie oparcia kolejno w każdym imperializmie zachodnio-europejskim w danym okresie najbardziej agresywnie antyradzieckim. Dlatego więc rządy sanacyjne wiązały się początkowo z Francją, następnie przejściowo wysługiwały się Wielkiej Brytanii, wreszcie podporządkowały się polityce hitlerowskiej. W związku z perypetiami rozgrywek wewnętrznych w obozie imperialistycznym czynniki polski wysuwały się w pewnych chwilach naprzód, wywołując sztuczne wrażenie, że odgrywa rolę samodzielną, częściej natomiast — stał się on wężym obiektem gry wielkich mocarstw.

Na tym tle kształtowały się stosunki polsko-francuskie i to zupełnie inaczej, jak to idyllicznie przedstawia Laroche. Doświadczonego do władzy zbliżyć się zupełnie logicznie z momentem przechodzenia punktu ciężkości akcji antyradzieckiej do Wielkiej Brytanii, a więc i z odejściem od rządów w Polsce kół politycznych orientujących się wyłącznie na Francję. Dlatego rząd sanacyjny, ogładający się z punktu na Wielką Brytanię, operował na zewnątrz frazeologią przeciwstawiania się nie liczącej się zwykle z interesami naszego kraju kontroli francuskiej. Później, gdy Wiel-

ka Brytania sama nawiązała znów stosunki dyplomatyczne z Związkiem Radzieckim, a natomiast starała się pchnąć Niemcy do akcji antyradzieckiej obiecując im zapłatę w postaci zgody na rewizję granic polsko-niemieckich — sanacja zaczęła gorączkowo odgrzewać sojusz polsko-francuski, gdy zaś Hitler doszedł do władzy — ujrzała możliwości zawarcia z nim bezpośredniej umowy. Wtedy stosunki polsko-francuskie zaczęły się znowu psuć, a to tym bardziej, iż w obliczu kryzysu gospodarczego i podnoszącej się w kraju fali antyrządowej, sanacja uznała za taktycznie celowe podjęcie demagogicznej akcji przeciwko uprawiającemu skrajny wysiłek kapitalizmu francuskiemu w Polsce.

Jedną rzec Laroche zaobserwował słusznie, a mianowicie związek stosunków polsko-francuskich ze stosunkami francusko-radzieckimi. Na wszelki wypadek rząd sanacyjny nie chciał wypuścić z ręki karty sojuszu polsko-francuskiego, ale jego wartość fluktowała w jego oczach w zależności od polityki rządu francuskiego wobec ZSRR. Każda próba zbliżenia francusko-radzieckiego wywoływała ostre wybuchy niezadowolenia ze strony obozu pilsudzkowskiego, aż dopóki Laval, podążający do Moskwy dla podpisania paktu między Francją a ZSRR (w 1935 r.), nie wytłumaczył Beckowi zatrzymawczy się w Warszawie, iż jest to tylko posunięcie taktyczne, nie mające żadnego głębszego znaczenia politycznego.

O tym wszystkim Laroche nie pisze, może nawet nie wie lub po prostu pewnych rzeczy nie rozumie i dlatego jego pamiętniki przedstawiają typowy przykład dezinformowania publiczności o problemach polityki międzynarodowej.

* Jules Laroche, ambassadeur de France, „La Pologne de Pilsudski“, Souvenirs d'une ambassade 1926 — 1935, Paris 1933, Flammarion, str. 234

POLSKIE DROGI

W niektórych dzielnicach kraju najgorszy rodzaj dróg nazywają „drogami polskimi”.

Taką właśnie drogą posuwają się — bo trudno użyć innego określenia — posuwają się z mozołem samochód Czerwonego Krzyża, rozgarniający reflektorami ciemności. Noc była wichurzasta i dżdżysta, nieładzka dla podróży, niezłomia dla kierowców, ale i niepozabawiona uroku, bo kokietująca wiosną — w lutym, w czasie, który nie zdążył jeszcze rozprawić się z zimą. A wiosna wypęłała do jadących przekonanie i jakby zalotnie, kryła się przed ładą ziemniacznymi podmuchem, żeby za chwilę pocięła im nozdrza niepokojącym zapachem rozmarzłej gleby. Wiece kierowca i lekarz opuścili szyby samochodu, oddając go na przestrzał w wladanie wiatru, deszczu i odległych obietnic wiosny.

Lekarz odrzucił czapkę, rozpiął palto, znajdując przyjemność w poddawaniu się tym szorstkim pieczętom pogody. A przecież nie miał powierzchności marzycyła: chłop wiśki i grubociosany, o twarzy młodej, ale zaznaczonej przez trud życia, czuprynie bujne, ale poprzetykanej siwizną. Oczy miał przymknięte, myślał znajdował się na pewno nie w wozie pogotowia, ani tym mniej w celu podróży, bo twarde jego rysy raz po raz miękły w półmroku. Błogosc tematu rozmyślań kazala mu zapominać o nużającej rzeczywistości, o niewygodzie jazdy, kapryśnych atmosfery i fatalnej drodze. Gwałtowne kolebanie samochodu, brzygi błota, wpadające przez okno i nieustanne sarkanie kierowcy nie były w stanie wpłynąć na stan lubości, w którym był pogrążony.

Może ta jego beztroska i brak solidarności z kierowcą popuścił tamtemu ostatecznie humor. W pewnej chwili zatrzymał samochód i oświadczył, że dalej jechać nie będzie. Lekarz, ocknięty z marzeń, nie od razu zrozumiał. — Co się stało? Kierowca ześmiał się niezłownie: — Pan doktor wyśiadzie i zobaczy, co się stało. Lubelska droga, rozjechała i błotnista, przecięta była w tym miejscu kilkumetrowym rozkopem. — Co to jest, po co ten dół? — Cholera ich wie. Drogę naprawiać im się w lutym zachciało. Mamy szczęście, żeśmy się tam nie wkropili, w ostatniej chwili zahamowaliśmy, sygnalów s...syny nie dali.

No dobrze, ale nie będziemy tu stali. Musimy objechać naokoło. — Objechać? Owszem. Ale na połamanych resorach. — A, zaraz na połamanych... Niech pan ostrożnie próbuje. — A co pan doktor takie rzeczy mówi, kto tu odpowiedzialny za wóz? — A kto kierownikiem ekspedycji! Choroego nie wolno bez pomocy zostawić... Na czworakach, a musimy dojechać. — To pan doktor pójdzie na czworakach, ale ja się stąd nie ruszę.

Temperatura sporu wzrastała. Nie od dziś nie lubili się obaj. Kierowca poczuł, że przeholował. Usiłował załagodzić. A czy jadą do groźnego przypadku? Wykituje facetka, czy co? Ktoż wzwanie w pogotowiu konieczne? Na sto — jedno może — no nie? Zresztą — głową muru nie przebieje. Przecież nie ma ich winy... Zawsze to samo w pogotowiu: map powiatu nie dają, Latarkę nie dają, Kochuchw i buków nie dają. Kierownik ma zawsze tę samą odpowiedź: złożył zapotrzebowanie... Benzynę wyznacza co do naparstka, ale akumulatorów nie wymieni. Kierowca raz już płacił karę z tytułu kieszonki za brak świateł. „To-mo-gieś-pan nie-je-chać”. Tak, a potem powie, że sabotaż. Za... taka robota!

— Panie, bo szkoda czasu, przewal mu lekarz. Jedziemy?

— Ale jak, panie doktorze, ale jak?

— Trzeba próbować, jak wyśiadę, podłożę deskę pod koło.

Kierowca się zaciął. Nie pojedzie. Nikt go nie zmusi. Co mu zrobisz? Niech go pan doktor kierownikiem nie straszy. On ma gdzieś kierownika. I miejską radę. I cały świat. I pana doktora na przybitkę.

Lekarzowi błysnęły oczy. Kierowca też był z nieustępliwych. W atmosferze błyskało i zanosiło się na pórnonowianę. Aż naraz lekarz, jakby coś sobie przypomniał — zmienił ton.

— Pan, zdaje się, żonaty? — Żonaty, tak jest. Ale o posadę się nie boję. — Tak powinno i być. A dzieci pan ma? — A bo co? — Masz pan dzieci...? — Jedno. — Dziewczynka? Chłopiec? — Dziewczynka. — Ile lat? — Pięc. — Widzi pan. My też do takiej dziewczynki jedziemy. Trochę starszej. A gdyby tak pańska zachorowała? Chciałby pan, żeby pogotowie do niej nie dojechało?

W rezultacie tej rozmowy nieprawdopodobnie zabłocony wóz pogotowia zjechał w jakąś godzinę potem przed dom Ciepłików w Pałesnicy. Z wozu wylonili się dwie postaci o tyle osobliwe, że obite w coś na kształt błotnistych getrów dookoła każdej nogawki. Jeden z dziwotworów niósł walizeczkę lekarza.

Ciepłikowi nie ukrywał zdziwienia, wywołanego wyglądem postaci, tak mało podobnych do zwykłych

pracowników służby zdrowia. Jednakże lekarz nie tracił czasu na pobratymskie gawędy: chciał natychmiast zobaczyć swoją pacjentkę.

Nie trudno było zidentyfikować ją między trójką jej śpiącego rodzzeństwa. W tym mieszkaniu stanowiąca niewątpliwie centrum ważności, lóżeczko jej potrafiło wywalczyć sobie pierwszeństwo wśród sprzędów pokoju. Spoczywała na nim brzydka, apatyczna i blada, zamurowana w swój gorset ortopedyczny, odrażliwiona na hold uczuć, zachodów i trosk.

Wzwanie, jak większość wzwani w pogotowiu — było kompletnie bezpodstawnie. Malgosia Ciepłik chorowała od kilku lat na gruźlicę kregosłupa, przebywała długi czas w szpitalu, skąd wypisano ją bez polepszenia do domu, właściwie na powolne konanie. Nie było tu nic do zrobienia, ani nawet do ulżenia w cierpieniu. Mała znajdowała się pod stałą opieką lekarza rejonowego i poradni przeciwgruźliczej. Tym razem wzwano pogotowie, ponieważ temperatura podskoczyła nagle o parę kresek.

Lekarz wymienił z kierowcą znaczące spojrzenie.

chodzie odpałał papierosa od papierosa i zbywał milczeniem uszczupliwie aluzje kierowcy. Na dworze było już jasno, wiedział, że jego dyżur znów się przedciągnie poza przepisany czas. Przeciagnął się istotnie. Po powrocie do miasta okazało się, że czekają ich jeszcze dwa, co prawda niedalekie, wyjazdy. Następnie, po ukończeniu dyżuru musiał koniecznie wpaść na swój oddział w szpitalu. Kiedy niebawem zmęczony dotarł nareszcie do domu, była już godzina nie dziewiąta, ale około dwunastej.

W mieszkaniu przywitały go pustka i chłód. Jedno i drugie w znaczeniu przenośnym. Może kiedyś indziej byłby zdania, że, wyrażając się językiem lekarskim, wszystko jest w granicach normy. Może to jego rozdrażnione nerwy zgłaszały szczególne zapotrzebowanie na ciepło domowe. Tak czy owak — odczuł bardzo niemilobność żony i dziecka. Na tę podwójną niemilobność powinien się być przygotować: Marta o tej porze musiała być na próbie, a Pietruka zaprowadziła do matki. Zapomniał jakos o tej próbie, przygotował się był psychicznie na czuły wyrzut Marty, że wraca tak późno, na okrzyki

nazwał, że ty chodzisz w dziurawych skarpetkach i jadasz nieogotowane potrawy, bo jak konuś z tym dobrze, to należy tylko mu życzyć, żeby oczy nie otwary mu się — po niewczasie. Nie mówię też o tym, że Marta, która się mieni artystką, także chodzi obdarta i wymięta. Proszę cię — nie przerywaj, wiem co chcesz mi powiedzieć. Chodzi o Pietruka. Jemu na pewno krzywda się u mnie nie dzieje, przepada za mną, ale jestem przeświadczona, że babka, nawet najbardziej kochająca, nie może dziecku zastąpić matki. Zycząc Marcie z całego serca, żeby Pietrek nie wyrzucał jej kiedyś, że go za mało kochała. Mnie — trudno z nią o tym rozmawiać, wiesz dobrze, że zaraz mi powie: „bo wszystko co ja robię, to jest źle”. Ale ty możesz i powinienes na nią wpłynąć, przez wzgląd na dziecko ale i na nią samą.

— Niebardzo rozumiem, co mama chce powiedzieć przez ten „wzгляд na nią samą”.

— A to bardzo prosta i dziwnie się, że sam tego nie chwytasz. Ja także kiedyś lubiłam się bawić w pisywanie wierszyków, malowanie obrazków i tym podobne blachostki, czy by nie chciała grać w teatrze.. Marta zrobiła się najpierw blada, potem purpurowa (tak przynajmniej przedstawiała się sprawa w jej relacji); kobiety mają sposoby, żeby wiedzieć, jak w każdym miejscu i u każdej porze wygląda ich otoczenie i powiedziała: mniej więcej o dziesięciu lat o niczym innym nie marzę. Wówczas elegancki pan przedstawił się jako nowozaangażowany reżyser i polecił jej stawić się nastajmy do teatru na godzinę dziesiątą.

Potem... potem — cóż? Marta zaczęła grać. Wszyscy zgodnie twierdzili, że ma autentyczny talent a-mantki — talent rzadki i może najtrudniejszy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że cicho i niepostrzeżenie faza druga przerodziła się w trzecią — dotychczas ostatnią i oby finałową: Marta zaczęła zaniędywiać się w obowiązkach matki i żony. Zbiegło się to z pewnym spletem niekorzystnych okoliczności: on, Gustaw długo i ciężko chorował, z choroby wyszedł bardzo wycieńczony, nie wolno mu się było przemęczać, zrezygnował z jednej ze swoich trzech posesi i ograniczył przykucie prywatną. Równocześnie Pietrak robił się coraz starszy i — trzeba to przyznać — nieznośniejszy. Dotychczas Marta w czasie próby lub gry podzucala go teściowie. Ale teściowa robiła się też coraz starsza i — trzeba to przyznać — nieznośniejsza. Prowadziła swoje gospodarstwo ogrodniczo-hodowlane i na pewno mogła bez większego wysiłku zaopiekować się małym. Jednakże — poczęła naraz miewać skrupuły, że odbiera Marcie uczucie dziecka, że nie może pogodzić się z systemem wychowawczym rodziców, że to, owo i dziesięć a przytem — było niezbitą prawdą, że chłopiec bulwersował jej pokój, wchłopał do stawu (nie głębokiego co prawda) i grał na tarabce, kiedy bolała ją głowa.

Najbardziej drażniące bywały te wielopiętrowe zagmatwania rodzinne, które powstają z tego wyłączenie powodu, że ktoś komuś działa na nerwy. Drażniące, obiektywnie drażniące właśnie przez swoją niesprawiedliwość, niewytłumaczalność osobom trzecim. Taka sytuacja zainicjowała obecnie w ich domu. Należało przeciąć ten węzeł gordyjski. Ale — jak? Matka miała gotową odpowiedź: niech Marta rzuci teatr. Oczywiście. Gustaw był również tego zdania. Talent, nie talent — dziecinstwo! On sam miał podobno za młodu wybitny talent poetki, matka wytargala go za uszy i kazala mu zostać lekarzem, został i bardzo to sobie dziś chwali. Talenty są ogromnie mile w społeczeństwach zamocznych. Ale Polakowi potrzeba takiego zawodu, który pozwoli mu żyć. A takim zawodem dla kobiety jest koniec końców — gospodarstwo domowe. Nie można przecież matki zmusić, żeby całe życie zajmowała się wnukiem. Nie można nawet mieć o to do niej pretensji, że taka sytuacja ją drażni. Przy tym, obok kwestii dziecka, istniała i kwestia domu, który naprawdę był prowadzony na poziomie niżej wszelkiej krytyki. Marta „nienawidziła” szkolnictwa, twierdziła, że nauczycielką została tylko po to, żeby wyjść z małorolnego, ojcowskiego zagonu. Możliwe. Każdy ma prawo mieć idiosyncrazje do jednego zawodu. Ale argument: chcę zrobić to, do czego się czuję stworzona — gdzieś się kończy. A gdyby nagle odkryła w sobie talent lotniczy podbiegunowej, albo żywej torpedy — do co? Poleciałaby w przestrzeń?

Nie, wcale nie czuła się usposobiona do żartów. Kochał, gorąco kochał Martę, a czteroletnie ich pozycje nie osłabiło ani ich miłości, ani nawet żaru, którym płonęła. Od miesiący namawiał ją na porzucenie teatru i staczał z nią długie dyskusje, z których nieodmownie wychodził pokonany. Czy miałą naprawdę talent — nie umiał obiektywnie ocenić, nie czuł się do tego kompetentny, wiedział jedno, że kiedy ją oglał na scenie, to czuł, jak z każdego jej słowa i z każdego gestu — płynie niezafalszowana prawda o życiu.

Kochała swój zawód, żyła nim, zdążyła w tak krótkim czasie poznać wszystkie jego arkana, rozkazywała się w klasykach. I o teraz miał przyjsć do niej i rozkazać: rzuć teatr! Rzuć to wszystko, bo ja chodzę w dziurawych skarpetkach. Rzuć, bo trzeba pójsć z Pietrkiem na spacer. Rzuć dlatego, że mama zrobiła się ostatnio nerwowa.

A przecież — tak było trzeba. Ktoś jej to musiał powiedzieć, a tym kimś — mógł być tylko on. Czyż lekarz nie jest fachowcem od zadawania bólu — w dobrym celu? Bo cel był dobry, interes dziecka — pierwszy, a zaś Marty — estetycznie tylko zabawa i amatorzyzna.

ZERWAŁ się, jak porażony prądem, kiedy Marta położyła mu rękę na głowie. Tak był pogrążony w rozważaniach, że nie usłyszał jej przyjscia. Teraz czuł się zawstyżony swoimi myślami, jakby go przychwyciła na kolportowaniu domowych sekretów.

A ona coś do niego mówiła. Zmusił się do uwagi. To największy kłopot będzie naturalnie z teoria: kiedy znaleźć czas na naukę? Sama jazda do Lublina i z powrotem — to cztery godziny, trzeba liczyć pięć. Teraz: godziny oddajdów i przyjazdów pociągów są takie, że

tracę na tej historii jeszcze około pięciu godzin. Ale to nie: wynajdę sobie w Lublinie jakiś spokojny kąciek, żeby właśnie ten czas wykorzystać na naukę. Przy okazji zawsze się też to i owo dla domu załatwi. Dostaniemy ulgowe bilety i podobno nasza dyrekcja pertraktuje już z PKS-em o specjalne autobusy. No, uczyć się będę musiała jak wariatka, bo czasu mało, a tyle przedmiotów: historia sztuki, historia teatru, teatrologia, nauka o Polsce współczesnej — a! jest ich coś koło dziesięciu. Ale tego się specjalnie nie boję, mam dobrą pamięć, ale to śmieszne, że ja, nauczycielka, usiudę na szkolnej ławie — no nie? I pomyśli, pomyśli, że za rok będę zawodową aktorką, pomyśli, pomyśli!

Pomyślał. Pomyślał... z dużą przykrością. Imponowało jej, że będzie używać tytułu zawodowej aktorki, tak jak on zachlustywał się przed laty swoim doktorskim tytułem. Co za dziecinstwo, ale jaka nadzwyczajna świeżosc i moc odczuwania! Wyobraził sobie, jak zgśnie za chwilę, kiedy będzie musiał oznajmić jej swoją decyzję. Nie wiedział, czy ma to zrobić od razu, jedynym cięciem, „chirurgicznie”, czy też przecięciem, tamponowac, dozwład przykrą wiadomością.

— Ale od kogo wyszedł ten projekt, zapytał ostrożnie, kto tę imprezę organizuje, skąd się to wszystko wzięło, nigdy nic o tym nie wspominałaś?

— Przecież ci mówię: aktorzy lubelskiego teatru podjęli pierwszomajowe zobowiązanie, że zorganizują kurs szkoleniowy, dla nas, dla amatorów. A znowu nasza dyrekcja wytypowała kilku najzdolniejszych, no i między innymi — mnie. Po roku zdamy egzamin dla eksternistów — do wszystkiego, —

— A teatr?

— Teatr zostanie upaństwowiony. Ach — tak strasznie, tak szalenie się ciesze! To przecież droga do kariery, to zupełnie inna pozycja — no pomyśli, pomyśli!

Myślał, jak zaościć jej ból. — Sama powinna dojsć do prawidłowych rozwiązań. Jego rola musiała ograniczyć się do naprowadzania jej na słuszną drogę.

— A czy będziesz mieć wygodne pociągi?

— Fatalne! — zawołała takim tonem, jakby mówiła „lukusow” — Rano będę musiała wstawać o czwartej, bo o piątej odchodzi ten robotniczy pociąg, a następnie dopiero w trzy godziny później. Oczywiście, zima, będzie mi trochę nieprzyjemnie, ale to przecież nie ma najmniejszego znaczenia. Po południu — komunikacja już lepsza, pod warunkiem, że złapie pierwszy pociąg, co mi się prawdopodobnie nigdy nie uda. Nie mam jeszcze dokładnych danych.

— Trzeba, żebyś je miała, bo zastanów się tylko: kto zajmie się małym?

— Myślałam już o tym. Właściwie — nie nic się zmieni, bo jak mam próby, to i tak Pietruka prowadzę do mamy. Teraz trzeba tylko będzie, żebyś ty to robił, udając się do szpitala.

Jeszcze dyskusja nie rozgorzała na dobre, a już Gustaw żalował, że do niej dopuścił. Mężczyzna, miękkim postępujący z kobietami jest zawsze przegrany. Kochanka musiał pokonać — choćby na punkty. Tylko impetem zdola coś dokonać. Jednakże Gustaw wiedział, że mu przegrac nie wolno. Zmarnował dogodną pozycję zaskoczenia, lecz mimo to — nie ustępował, walcząc na niekorzystnych warunkach argumentacji, używając pocisków logiki, na którą kobieta tek znakomicie jest opancerzona. Miał przecież za sobą szerszość, tę szerszość, o której mężczyźni z dawien dawna sądzą, że może przenosić góry. Sytuacja była niedwuznaczna, jego racie — nie do odparcia: matka, stara i chora, nie mogła nadal zajmować się Pietrkiem. Jeśli by musiał opuścić ten szaniec — to chronił się za następnym lepiej jeszcze obwarowany: wzgład na dom, wzgład na życie rodzinne, którego Marta była ponoć kapłanką, wzgład na dziecko, które należało wychować. A gdyby i tej pozycji nie zdołał obronić — co było zresztą niemożliwością — to istniał jeszcze niezdybowany bastion, cytadela, którą ustanowił on sam: ciężko pracujący, umęczony, potrzebujący opieki, tkliwość, spragniony i głodny uczucia.

Lecz Marta nie marnowała siły na zdobywanie przedpola i jedynym atakiem dosięgła go w cytadeli. Uczucie? Miłość? Rozprałwał o nich nie będąc zarazem zdolnym do drobnych wyrzeczeń dla sprawy, która miała zdecydować o jej losie. Miłość? Uczucie? — Na tle bezbarwnego jej życia zarzysowały się nagle jakies szanse, zarzysowały horyzonty — a on się nie cieszył, nie wydal radosnego okrzyku, nie powiedział jednego zachęcającego słowa, przeciwnie, stał w opozycji, przysparzał trudności, przagnął nadal ją widzieć w uprzejmych domowych obowiązkach, w kierowniczych czynnościach. Dziwna zaiste to miłość, która godziła na wieczną bezosobowosc kobiety, która zdumiewa jej zryw do stwarzania sobie wartościowego życia. Jakże ciężko pojąc „kochajacemu” mężczyźnie, że kolowrót, zakupy — gotowanie — zmywanie odbiera kobiecie wszelką ochotę do życia, doprowadza ją — nie w przenośni, lecz w nadostłowniejzym znaczeniu



rys. Barbara Jonscher

— Nie wiem, czy państwo zdajecie sobie sprawę... — zaczął i u-rwał. Ogarnęło go zniechęcenie i gniew. Po co się wysilać, po co tłumaczyć po raz setny bulom ludzkim, niezdolnym czegokolwiek zrozumieć, że pogotowie nie jest „od zachorowań”, tylko „od wypadków”. Ze przez te cztery godziny, które zmarnowali na jazę, tamten pacjent z zatruciem mógł się wykończyć. Po co się wadawał w jałowej dyskusje z rodzicami, którzy zawsze będą uważać, że kichnięcie ich dziecka ważniejsze jest od śmierci cudzego, którzy będą się drapieżnie wykićcać, że „choroba, to także wypadek”. Po co nawet wspominać o własnym zmęczeniu, o tej straszliwej drodze, o niszczeniu społecznego samochodu, marnotrawstwie społecznej benzyny, pieniądze a nade wszystko — czasu. Przecież oni mają na końcu języka demagogie o „stosunku do człowieka pracy”, „bezdusznej biurokracji” i „lęcznictwie dla mas”. Po co wychowywać ludzi, którzy wychowywani być nie chcą i których wychować nie można. Niechaj się tym trudnią szkoła, radio i prasa, skoro za to im placą.

W momencie, kiedy się zabierał do oddajdu — Ciepłikowa pochyliła się cicho nad córką i poczęła jej coś przypominac, niby szeptem, ale tak, żeby lekarz usłyszał. Miała przecież o coś pana doktora poprosić. Dziewczynka oczywiła się, oczy jej zapalały, ale oczywiście nie było mowy, żeby odważyła się na samodzielne wystąpienie. Więc matka musiała przemówić w jej imieniu. Tego dnia miał przyjechać do Pałesnicy teatr. Prawdziwy teatr. Mała nigdy jeszcze nie widziała teatru — bo mała, i od maleńkości w szpitalu, usprawiedliwiała ją matka, jakby sama była namientnym bywalcem teatru. W rzeczywistości wygladala raczej na taką, która również nie przestąpiła jeszcze progu przybytku Melpomeny. Prawdopodobnie była nie mniej ciekawa widowiska od córki. Chodziło bowiem o to, żeby pan doktor pozwolił Malgosi wstać i pójsć obejrzed przedstawienie.

Tego lekarzowi było trzeba! Aż nam zatręśli! Więc — jak to? Chora była dziewczynka, czy zdrowa? Jeżeli chora, to jakżeż można ciągać ją po teatrac i nadomiar — o tej porze roku! A jeżeli zdrowa, to po co go tu wzywano, po co w nocy, w taką pogodę, i po takiej drodze kazano im się tyrac, świnic, tytułać w błocie! Ludzie ze wszystkim postradali już rozum! Za dobrze im się powodził, sami już nie wiedzą, co mają wymyślić! Wyszedł bez pożegnania i trzasnawszy drzwiami. Siedząc w samo-

Pietruka i jakąś jego grzeczność, czy niegrzeczność, względem której będzie musiał zająć określone stanowisko. A tu — nic z tego. Pustka i chłód. Nie dom, a maszyna na suma pewnej ilości sprzędów. Głodny był — odechciało mu się jeść. Był zmęczony — odechciało mu się spać. I on w takim mieszkaniu miał żyć? To nie było życie, to z życiem nie miało nic wspólnego — prócz nazwy. Pokój zmienił się w głupią arymetykę mebli, a życie — w koniówkę czynności.

W mieszkaniu panował nielad. „Artystyczny”, pomyślał zgryzliwie... „Fortepiano? Na nim nuty i księżki. Wszystko porzucane niedbale i beładnie; nieporządek miły...” Istotnie: na krześle chleb, na stole majtki, podłoga zarzucona kłótkami i obrazkami z loteryjki. Wieważ odziany w palto i swoje błotniste getry począł się schylać, zbierać, porządkować.

DZWONEK. Kogóż diabli nieśli?

Marta miała kluczyk. Nie, to była matka. Przywitali się, pomogli jej zdjąć futro i trzymał je w ręku, bo nie było gdzie go położyć: na każdym krześle leżał nieuprzątnięty przedmiot. — A skąd tyle tego się legnie? Matka uśmiechnęła się, osobliście zaniósła futro do kuchni, wrocila z niej z zapalonym papierosem, poczęstowała też syna. — Jak ty Gutku wyglądasz! Nie powinienes tak chodzic! — Ależ mamusiu, tłumaczył się jak sztubak, ja na codzień wygladam bardzo porządnie, tylko dziś w pogotowiu wpadłem w jakies trzęsawisko i nie zdążyłem jeszcze się przebrać —...i nieogolony jesteś, ciągnęła dalej, jakby nie słysząc jego usprawiedliwień. Dawniej byles taki pedant, eleganek z morskiej pianki... Tak, ja wiem, odpowiedziała na coś, czego on wcale nie wypowiadział, ja cię rozumiem — cóż, zakreśliła wysoko w powietrzu jakiś gest swoją smukłą dlonią. Nie broń jej, bo ja jej wcale nie atakuję. Kocham, jak rodzona córka. Naprawdę. Ale usprawiedliwiać winy swoich dzieci — to jest mała miłość. Ja tobie nigdy nie polebizałam i dziś tego nie żaluję, bo wiem, że i ty myślisz podobnie. Zrzuciła z krzesła na podłogę plik czasopism, usiadła zakładając nogę na nogę. — Nie powinno się wtrącać w sprawy wewnątrz-mażeńskie, nawet własnych dzieł, mówiła, i nikt nie może twierdzić, że ja to kiedykolwiek czyniłam. Ale to, co się u was dzieje w tej chwili, domaga się jakiegoś... szukala słowa, jakiegoś ulepszenia. Nie mówię już o tym, że jest u was... b.u.dno, bo tak innej drogi trzeba to

do młodości z obrzydzenia i nuda: Ach! gdyby mężczyźni mogli poprosić tego ohydno gościa — nie dziwiłoby się laniom, których dokonują kobiety, by z nim skończyć. A przecież Gustaw wiedział niby, jak bardzo ona tęskni za czymś innym, na jak nieprawdopodobny sposób była się wysiliła, żeby wspiąć się do góry, jak najpierw, pasając krowy, czytywała całymimi godzinami książki, jak potem — kosząc największego wysiłku — zapisała się do gimnazjum, jak nie mogła go ukończyć z powodu wybuchu wojny, jak później paskowała jakiami i masłem, żeby zdobyć środki na dalszą naukę. I wiedział również, że ona ma talent, to nie były jej fanaberie lecz obiektywne stwierdzenia fachowców i państwo stworzyło jej możliwości, by mogła zrealizować to marzenie, stać się pełnowartościowym człowiekiem, wywłać na kurs, dziecko można było przecież umieścić w przedszkolu — a on, on właśnie, jej mąż — odpowiadał: nie!

Z kolei Gustaw poczuł się wysoce dotknięty zarzutem braku miłości. Dotknięty, a jednocześnie zdumiony. — Nie pojmuję, mówił, tej waszej (znaczyło to: kobiecej) zdolności do odwróconej oceny zjawisk. Nie pojmuję zdolności puszczania w niepamięć dorobku poprzednich dyskusji. Przecież tę rozmowę prowadzimy już po raz iksty. Zawsze zgadzałaś się na to, że nie wywiążesz się należycie ze swoich obowiązków. Utrzymywałaś nawet, że jesteś złą gospodynią, złą matką i zoną i to ja musiałem cię hamować w tych samokrytycznych zapędach. A potem, przy każdej następnej rozmowie — trzeba całe dnozenie przeprowadzać od nowa, zamiast żeby te rozmowy nakładały się jakos na siebie i jakos się sumowały. Ja zaś każdorazowo popielam błąd zakładania, że ty przecież o nich pamiętasz.

— Znowu się robisz sarkastycznym. — Mylisz się kochanie, ja nie jestem sarkastyczny: mnie bierze cholera! Wiesz, nad czym rozmyślałem w chwili, kiedyś ty przysłałaś? Nad tym, jak pogodzić dotychczasowy stan rzeczy z koniecznością życia, jaki wynaleźć kompromis między twoimi fantazjami a zdrowym rozsądkiem, jaki — krótko mówiąc — zaoszczędzić ci bólu. A ty obrabiasz sobie te własne chwile, na oznajmienie mi swojego dziwanego pomysłu, który całkowicie już kładzie nasze życie rodzinne...

— Nie jestem obowiązana domyślać się wszystkich twoich knołów przeciwko mnie, —

Fochał i gdyby ci bodaj trochę zależało na mojej karierze — to być znalazł jakiejś wyjście, choćby jedyną jeszczec godzinę tygodniowo, żeby zostać lekarzem przedszkolem. — Przede wszystkim nie jedną godzinę, a siedem, bo przecież ktoś będzie musiał Pietrka zaprowadzić i odprowadzić, a tym „kimś” mogą być tylko ja. Po drugie fakt, że będąc lekarzem przedszkolem nie może podnieść jego poziomu sanitarnego, któremu winna jest nie pani kierowniczka tylko personel, którego nie można przecież zmienić od góry do dołu!

— Więc co, mam iść i powiedzieć w teatrze, że rezygnuję z kursu? — Nie nie „masz” i daruj sobie tę demagogię, bo wiesz dobrze, że że nie mogę niczego ci nakazać ani zabronić. Wolno mi, co najwyżej przypomnieć ci twoje własne stwierdzenie z niedawnej przeszłości, że nie umiesz pogodzić obowiązków aktorskich z rodzinnymi, że wedle twoich własnych (nie moich!) słów — jesteś złą matką i zoną.

— No to logiczny wniosek jest taki, że powinien natychmiast rzucić pracę w teatrze! — Nie neguję, że taki wniosek byłby logiczny... Ale — co! Dochoziłaś już doń wiele razy, żeby przy najbliższej rozmowie być ogromnie zdziwioną, że ja o nim jeszczec pamiętam i... nawet mieć mi to za złe.

— Możesz być spokojny, nie trzeba będzie więcej mi go przypominać. — Zaiste, wiele już to razy słyszałem...

Nie usłyszysz więcej, Gustawie. Bądź spokojny, nie usłyszysz już nigdy. Od jutra będziesz chodził w zacerowanych skarpetkach, które tak sobie cenisz i będziesz jadł przygotowane potrawy, na których tak ci bardzo zależy. Twoja matka zyska kilka dodatkowych godzin na plotki z panią aptekarzową, a twój syn będzie nosił ładne, odprasowane fartuszki w oczekiwaniu chwili, kiedy wyrośnie na tobie podobnego egoktę. Twoja żona za to — rezygnuje ze swoich fantastycznych, niepoważnych i dziecinnych ambicji. Zostanie tym, co, jako córka dwumorgowego gospodarza i tak powinna uważać za awans społeczny: rządzą gospodynią, rozsądnie dzieląc swój czas między dwadzieścia czy piętnaście czynności, codziennie tych samych w ciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni roku, pomnożonych o te jakieś czterdzieści lat życia, które ma jeszczec przed sobą. Ponieważ jednak człowiek samą tylko pracą żyć nie może, więc będzie wieczorami również chodziła na plotki,

To smutno, ale prawdziwe. Nie wolno im pobłażać, bo nie tylko nie potrafią tego docenić, ale jeszczec będą miały żal o to, że się ich nie wychowało. Będą wchodzić mężczyźni na głowę, sterroryzują go, zatrują mu życie pretensjami. Będą się domagać prawa do podobnego wypracunku, na równi z mężczyzną. Będą się domagać, żeby mąż co drugą niedzielę dyżurował przy dziecku. Będą się domagać, żeby zajął się kuchnią, kiedy się czują niezdrowe. Będą się domagać, żeby się opowiadał z kim i dokąd wychodzi. Będą się domagać, żeby się z nimi konsultował w sprawach zmiany swej pracy, lub miejsca pobytu. Będą się domagać samodzielnego zawodu, który — w ich mniemaniu — dorówna ważności zawodu mężczyzny!

Twoja zaś polityka, Gustawie, polityka silnej ręki — przyniesie zamierzony rezultat. Czy widzisz, jak Marta krząta się już po mieszkaniu, jak zstępuje z nieba fantasmagorii na ziemię, z jej doczesnymi kłopotami? Pogńiewa się, podąsa — i przestanie. Tylko nie pozwól sobie na słabość! Nie daj się zwieść temu wzrokowi lunatyczki, jaki od czasu do czasu będziesz dostępował na jej twarzy. Udawaj, że nie słyszysz rozdzierających westchnień, jakie w wolnych chwilach będzie ze siebie wyrzucać. Westchnienia i wzrok lunatyczki stanowią będą oznaką braku pożytecznego zajęcia — nie więcej. A kiedy, wiedzioną babską potrzebą rozrzewnień, zacnie się znowu oskarżać o rozmaite winy i będzie miewać skrupuły, że pozostała młoda złą gospodynią, złą matką i zoną — w takich chwilach. — broń Boże — nie zaprzeczaj, ale przytakuj skwapliwie, w przeciwnym bowiem razie dasz jej nowy powód do walki o „miejsce na ziemi”, udzieliś jej bronii przeciw samemu sobie, okaziesz się niedogodnym zwycięstwą, które dzisiaj odniosłaś, niedogodnym mania mężczyzny!

ZDAJE się, że ktoś dzwoni. — Zaraz pójde i zobaczę. — Dziusze pertraktacje w przedpokoju.

— A co się tam stało? — Nudna rzecz; przyszedł gońiec z teatru i powiedział, że wypadła nagła objazdówka. Aniela, która mnie dubuje — zachorowała i ja muszę jechać. — Oczywiście! A tyle razy mówiłem, żeby najpierw sprawdzić kto dzwoni i nie otwierać nikomu z teatru. Powiedz, że i ty jesteś chora. — Niemożliwe, przecież mnie widział na próbie a goniec także mógł stwierdzić, że mi nic nie brakuje. — Widzę, że mnie tam trzeba.

— Spokojnie, Gutku! Nie broń mi jechać, to przecież ostatni raz... — Jako: ostatni raz? — Bańżo! Proste: jutro pójde do dyrektora i zgłoszę wymówienie.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Gustaw najwidoczniej zafrapowany był tą wiadomością. Ale się nie dał zbliżać do tropu.

— To i tak będzie kwestia trzech miesięcy.

— Nie, bo „Śluby” idą już do końca sezonu a Aniela wyzdrowieje i będzie grać na moje miejsce, zresztą — postawię sprawę kategorycznie... jestem przecież tylko amatorką... W ostateczności — postarasz się o świadectwo lekarskie.

— To mi nie odpowiada. Zadnych kantów! Nie. Trzeba inaczej z tym skończyć. Wcale nie muszę dziś grać; jest przecież poniedziałek, twój wolny dzień i przypominam ci, że mieliśmy pójść do Teatruszów.

— Gutku, to przecież teatr, to służba, jak twoje pogotowie. Mnie to napewno nie bawi, w dodatku w taką pogodę. Ale tam przecież przyjdą ludzie i będą czekali na występ.

— At — ludzie! Trochę hołoty ze szkoły powszechnej.

— „Hołota ze szkoły powszechnej” — to także ludzie. Nie rób mi, Gutku, trudności. Mój ostatni występ!

Mówiąc to — wkładała już futro i buty. Gustaw chodził po pokoju w tę i z tą, aż nagle — poczył się również ubierać.

— Wychodzisz?

— Idę pomówić z twoim dyrektorem.

— Oszalałeś? Po co! Dyrektora teraz nie zastaniesz!

— No to z rezyserem, z kimkolwiek. Nie pozwól cię wykorzystywać, nie dam ci jechać, powiem im kilka słów prawdy.

— Gutku, błagam cię — nie szalej! Mówię ci, że to mój ostatni występ. Dlaczego chcesz koniecznie, żeby moje pożegnanie ze sceną było zle...

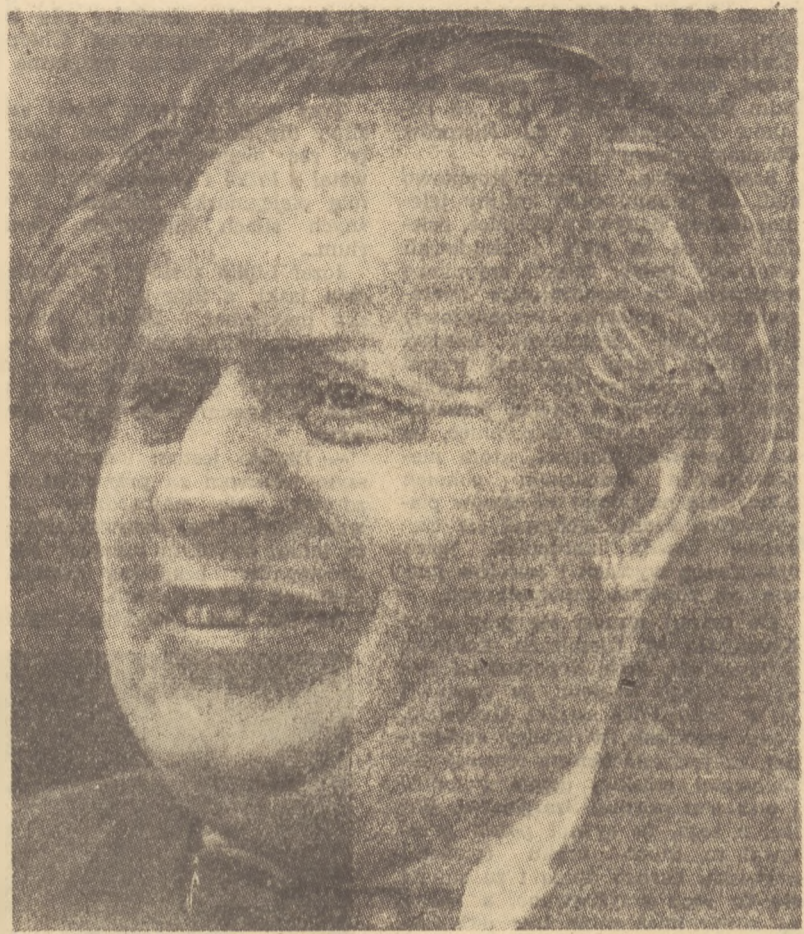
— Bo dzisiaj masz wolny dzień, bo wiecznie urządzają takie kawały, a nikt z was nie ma odwagi iść się przedstawiać, jesteście jak larany, pogódź jest okropna, ty się źe czujesz — nie dam ci iść!

— Gutku, proszę...

Dyskutowali już na ulicy. Gustaw stawał obzrywie kroki. Marta drobna za nim, nie mogąc nadążyć. Znała go, wiedziała, że jest zdolny „przebrać” swoją gróźbę, że, jak większe mężczyzn, doznaje uczucia wzniesienia własnej iżni robiąc awanurę, że w momentach, kiedy zaczął już brutalizować, bracia izuje konsekwentnie, bojąc się jakby, że „zobolgowaw” bodaj na moment — utraci zdolność brutalizowania, straci szwung, nie będzie już wiedział w którym miejscu urwał, zaopłi swoją kwestię.

(dokończenie w następnym numerze)

HENRYK KMITA ANDERSEN NEXØ — MŁODY DUCH BUNTU



W małym, prowincjonalnym miasteczku autor „Ditty” wygłosił odczyt. Po imprezie, która zgromadziła wiele osób, do Nexø podszedł stary robotnik i rzekł:

— Przeszedłem czterdzieści kilometrów piechotą, żeby cię zobaczyć. Myślałem, że cię znam, okazuje się, że cię nie znam. Skądże ty mnie tak dobrze znasz? — Ja ciebie też nie znam — odpowiedział Nexø.

— Jakże to, przecież napisałeś o mnie całą książkę? — zdziwił się robotnik.

Istotnie. Wszystko, cokolwiek w swym długim, pełnym cierpień i trudów życiu napisał Martin Andersen Nexø, czy były to opowiadania, czy powieści, czy wreszcie bogata twórczość publicystyczna — wszystko to składa się na epopeję duńskiej klasy robotniczej, i jeśli nie zawsze jest opisem życia tej klasy, to w każdym wypadku — jest odzwierciedleniem głębokiej troski o jej losy. Swój talent poświęcił Nexø bez reszty wielkiej sprawie walki o sprawiedliwość społeczną. Tak więc śledząc losy Pellego, Ditty, czy Mortena czytelnik polski, znający Danię z powieści Karin Michaëlsen — ze zdumieniem stwierdza, że niezupełnie dobrze dzieje się w państwie duńskim, że w tym kraju mającym opinię bogatego i zasobnego jest wiele nędzy, głodu i ludzkiego cierpienia.

Najbardziej wymownym i przekonującym przykładem owej odwrotnej strony duńskiej rzeczywistości było samo życie Andersena Nexø. Życie smaganego przez los, od najwcześniejszego dzieciństwa dziecka proletariatu.

Martin Andersen przyszedł na świat 6 czerwca 1869 r. w najuboższej dzielnicy Kopenhagi jako syn kamieniarza Hansa Jørgena. Szczerze, bez patosu, opowiada o swym ciężkim dzieciństwie pozbawionym jasnych dni, we „Wspomnieniach”.

Zresztą to, co przeważnie zwykło się nam kojarzyć z okresem lat dzieciństwa, zabawy, beztraska, opieka rodziców, szkoła — nie było w ogóle udziałem Martina. Pracować zaczął jako kilkuletni malec. Musiał być niańką i opiekunem maltuciej siostrzyczki, ojciec był przeważnie poza domem, matka handlowała wazykami, żeby choć parę órów zdobyć dla domu. Tak się bowiem składało, że nikt z zarobki ojca szły przeważnie do karczmy, gdzie w grupie przyjadłców starał się zapomnieć o twardej rzeczywistości, twardej niż kamienie, które rozbiłał...

W poszukiwaniu lepszych zarobków Andersenowie, których rodzina rokrocznie powiększała się o jednego członka, przenieśli się do miasteczka Nexø (stąd późniejszy pseudonim pisarza). Tu Martin, dziecko chorujące i słabowite, oddany został do pracy jako pastuszek. Ale pobyt nad morzem wzmacnił jego siły. Nie był już jak dotąd pokrytym skrofulicznymi wrzodami kandydatem na tamten świat, tak jak większość z jedenaściorga dzieci kamieniarza Andersena.

Z wiekiem bat pastuszką zmienił Martin na kopyto szweskje. Tu pod wpływem swego towarzysza pracy, który był chory na gruźlicę i lubił książki, umysł młodego Martina zaczęły nurtować dość „przekorne” myśli: dlaczego jedni ludzie, pracując od świtu do zmierzchu nie mogą zarobić na najistotniejsze potrzeby życiowe, natomiast inni — nie przemęczając się zbyt, mają pieniądze w bród.

Ale dopiero parę lat później — jako pomocnik murarski usłyszał Martin Andersen od swych starszych towarzyszy pracy po raz pierwszy hasło, które miało się stać wytyczną jego dalszej drogi życiowej: „Wolność robotników powinna być dziełem samych robotników”. Zapiętnałą, wybierane przez przyjadłców, którzy ujęli szybko, że młody chłopak przetrasta ich umysłowo, dostał się Martin do Wyższej Szkoły Ludowej w Askov. Ukończywszy ją w r. 1893 zostaje nauczycielem. Ale głodowe dzieciństwo, ciężka praca fizyczna przy słabym organizmie, wreszcie lata wyjęzonej nauki rodzni gruźlicę. I znowu pomagają przyjaciele,

ułatwiają mu wyjazd do Włoch i Hiszpani dla ratowania zdrowia.

Jeśli Nexø jest nazywany „skandydynamskim Gorkim” — pochodzi to nie tylko stąd, że obaj byli pisarzami par excellence proletariackimi, składa się na to podobieństwo ich drogi życiowej. Zwraca również uwagę zbieżność w poszczególnych etapach twórczości. O ile np. swój pobyt na Południu Gorki uwiecznił wspaniałym „Bańkami włoskimi”, o tyle rezultatem podróży Nexø była jego słynna książka o miłującym wolność narodziście hiszpańskim pt. „Słoneczne dni”.

W okresie lat 1914—1917 dokonał się ostateczne ugruntowanie ideologii marksistowskiej u autora „Czerwonego Mortena”. W decydującym stopniu wpłynęła na to wieść o Rewolucji Październikowej. Odtąd pragnieniem Nexø — ziszczonym zresztą w kilka lat później — jest odwiedzenie państwa, w którym zwyciężył socjalizm.

W latach trzydziestych Martin Andersen już jako znany w całym świecie działacz Komunistycznej Partii Danii i pierwszy na zachodzie Europy pisarz realizmu socjalistycznego — występuje niejednokrotnie na międzynarodowych kongresach przeciwko faszyzmowi.

Rok 1938 zastaje Nexø w Hiszpanii, gdzie jako przewodniczący zjazdu pisarzy głosił chwałę walczącego o swą wolność ludu, potępiając jednocześnie rządy krajów, które republikancom hiszpańskim odmówiły bronii... „Widzimy nieprawdopodobne przeciwieństwo między ideową walką antyfaszysty i tą twardą rzeczywistością, w jakiej żyje, zachwycając się jego niezwykłą wiarą w zwycięstwo sprawiedliwości i wolności, zwycięstwo pomimo wszystko; myślimy z goryczą o „demokratycznych” krajach, pozorujących swoją maludźność „nie mieszanem”.

Rzecz jasna, że swą bezkompromisową postawą pisarza-rewolucjonistę wywoływał raz po raz nagonki i ataki ze strony duńskiej, i nie tylko duńskiej, prasy reakcyjnej, inspirowanej przez zainteresowane tym czynniki. Doszło nawet do palenia książek Nexø na stołach, co — jakby nie było — dawało pewne pryncje o „demokratyczności” Danii.

W czasie wojny, w okupowanym przez hitlerowski kraj, Nexø rozwija intensywną działalność publicystyczną, co, mimo zachowywania

konspiracji, kończy się wtrąceniem pisarza do więzienia.

Dzięki staraniom partii udaje się Martinowi Andersenowi zbiec do Szwecji. Pisarz ma wtedy już siedemdziesiąt pięć lat, jednakże w dalszym ciągu kontynuując ożywioną działalność polityczną i pisarską.

Zanim 1 czerwca 1954 roku śmierć zakończy jego niezwykle, poświęcone walce o lepsze jutro proletariatu Danii życie — dziesięć ostatnich lat Martina Andersena Nexø — to dalsza, niestanna praca. Wypełni je pobyt w Związku Radzieckim, jak też podróże po Europie (m. in. był gościem naszego Kongresu Intelektualistów), gdzie, nie bacząc na podeszły wiek, bierze udział w licznych zjazdach i obradach, wygłasza przemówienia i odczyty nieugięte prowadzi walkę o pokój, wolność i postęp.

Twórczość pisarza Nexø jest integralnie złączona z jego działalnością polityczną. Dlatego w twórczości tej nie mał naczelne, już choćby ze względu na bezpośrednią oddziaływania, miejsce zajmuje publicystyka autora reportaży pt. „Słoneczne dni”, „Gdyby zebrał wszystkie artykuły napisane przez niego w ciągu wiecej niż pół wieku — czytamy we wstępie do radzieckiego wydania dzieł Nexø — dałyby one przejmującą książkę, a każda jej stronica odbijałaby jak w lustrze najważniejsze zdarzenia z międzynarodowego życia, walkę klasy robotniczej w Danii i innych krajach kapitalistycznych, olbrzymią, przodującą rolę Związku Radzieckiego, jego zwycięstwa na frontach wojny i pracy, mające ogólnoświatowe znaczenie dla wszystkich narodów walczących o wolność i niepodległość”.

Czytelnikowi polskiemu dobrze znana jest słynna na całym świecie trylogia powieściowa „Pelle Zwycięzca”, „Ditta” i „Czerwony Morten”, w której z niezwykłym realizmem ukazane są dzieje przedstawicieli proletariatu duńskiego, Pelle — działacz robotniczy — zdradzi swą klasę i ideę, o którą walczył, przechodząc na pozycje reformistyczne. Ditta — „dziewięcie człowieka” — ginie w nierównej walce z życiem, z otaczającym ją ustrojem, wreszcie Morten — „człowiek nowej generacji” staje się świadomym, konsekwentnym bojownikiem o socjalizm.

Oprócz tych najbardziej znanych utworów jest Nexø również autorem powieści „Kurzy” i „W krainie bogów”, przypominających swym klimatem „Dittę”, a ukazujących ponury obraz życia duńskiej młodzieży robotniczej.

Osobny rozdział w jego różnorodnej twórczości stanowi noweliстика. Wymienić tu należy takie zbiory jak „Cienie”, „Kretowiska”, „Nowe le bornholmskie”, „Dzieci proletariatu”, a przede wszystkim najbardziej może typowy dla Nexø zbiór opowiadań pt. „Pasażerowie nie zajętych miejsc”. Jako pisarz wyrosły z ludu i ludowi temu bez reszty oddany, Nexø niejednokrotnie wprowadza do swych utworów postaci baśniowe i alegoryczne, zaczerpnięte z podań folklorystycznych.

Tu trzeba jeszczec dodać, że w bogatym i zróżnicowanym dorobku twórczym Martina Andersena Nexø nie zabrakło również poezji z zakresu poezji. W wierszu do marynarzy duńskich, piśnianym w czasie okupacji, Nexø — „młody duch buntu” — jak go nazwał jeden z pisarzy norweskich — precyzyjnie zadania ruchu oporu. Głęboki sens słów poety — wielkiego syna narodu duńskiego przetrwał próbę czasu. Słowa te brzmią dziś jak hasła i jak wskazanie dla milionowych mas prostych ludzi na całym świecie, walczących o pokój, o swą jasną przyszłość.

Walczymy o wysoki niebo nad domem
 Nad dziełmi, o swoje gnazdo,
 Walczymy za samych siebie,
 To znaczy — za ludzkość.

PAMIĘTNIK PRZEOBRĄŻONEGO KANONIKA

(dokończenie ze str. 3)

— dokonąć przemiana jest główną, najbardziej ważką, najbardziej tworzącą treścią ideową problemu książki, który robczo określony został jako problem przeobrażającego się w historii współczesnych ruchów społecznych typu kapłana, wiernego misji apostołatu wśród klas walczących o społeczną sprawiedliwość. Na głębokim, artystycznym i intelektualnym przekonującym ukazaniu tej treści ideowej polega główny walor, główna siła artystyczna i ideowa książki Pezerila.

Zegnamy się z księdzem kanonikiem Serrurier w chwili, gdy przeozarała go wewnętrznie poszerzona prawda o społecznych zadaniach kapłana. Widzimy go jeszczec w ostatnim zryw, gdy — nie mogąc już tej prawdy przetłumaczyć na zbyt trudną dla starca pracę w nowym środowisku — biegnie z pomocą dla jednej z ofiar za społecznego, chce przynieść ulgę więźniowi Del Monte. Nie oceniamy tego zrywu inaczej niż jako dowód — oczywiście uwarunkowany sytuacją chorego, śmierci już bliskiego kapłana — do wód zrozumienia o nowej drodze. Ślad na tej drodze, zostawiony w ostatnim, przedśmiertnym jego marszu księży kanonika Serrurier jest jednocześnie dla innych drogowskazem. Musi być drogowskazem.

Książka Pezerila — obok dzieł takich jak G. Cesbron „Les saints vont en enfer”, J. Anglade’a „Le chien du Seigneur” czy B. Simona „Les chiffoniers d'Emmans” — jest

jednocześnie dowodem coraz bardziej, coraz wyraźniejszego wiązania w świadomości katolickiej sprawy służby kapłańskiej z nakazami epoki walk o sprawiedliwość społeczną, walk o zniesienie krzywdy i wyzysku kapitalistycznego. W niej — jak i w książkach przykładowo wspomnianych pisarzy postępowej literatury katolickiej we Francji — przejawia się coraz bardziej konkretna potrzeba nierozłącznego widzenia apostołatu kapłańskiego i zaangażowania w wielką sprawę klasy robotniczej.

U nas, gdzie potrzeby te znalazły już swoje formy realizacyjne w ruchu katolików społecznie postępowych, u nas, gdzie na łamach pism katolickich publicznie dyskutuje się zagadnienie nowego typu kapłana społecznego, we współbudowie państwa socjalistycznego — wydana przez „Pax”, a przetłumaczona z wielkim pietyzmem przez Wandę Ursteinową powieść Pezerila „Uliczka Notre-Dame” *) jest nie tyle drogowskazem, ile cennym dokumentem artystycznym i ideowym coraz szerszego przenikania nowej świadomości społecznej w świat katolicki.

I jako taki dokument winniśmy ją przyjąć z uznaniem, zrozumieniem i wdzięcznością.

Zygmunt Lichniak

*) Daniel Pezeril: Uliczka Notre-Dame, tłumaczyła Wanda Urstejn, Wydawnictwo „Pax”, Warszawa 1954, str. 170.



— Nie cię nie upoważnia do używania podobnych słów! Informujesz mnie o swoim największym wybruku, jak o kupnie nowego kłepiusza i przez jedną sekundę nie przychodzi ci do głowy zapytać mnie, czy mi to odpowiada. Może więc będziesz laskawa przyjąć do wiadomości, że mi to bardzo zasadniczo nie odpowiada. Nie odpowiada mi dalsze jądanie niedogotowanych potraw. Nie odpowiada mi noszenie dziurawych skarpetek. Nie odpowiada mi również, żeby moje dziecko było wychowywane przez babkę, zamiast przez matkę. Nie odpowiada mi wreszcie, żeby mi kiedyś miało wyrzucić, że je za mało kochałem!

— Ależ Gutku, dlaczego się unosisz, przecież ty chodzisz tylko o rok, a kiedy zdam egzamin wszystko się jakoś ułoży. Jeżeli twoja matka uważa, że opiekowanie się wnuczkiem stanowi dla niej zbyt ciężką pracę, to można go przecież umieścić w przedszkolu.

— Bardzo się dziwię, że chcesz oddać Pietrka do przedszkola. Nie wiesz niby, że przedszkola są wyłączną domeną wszystkich możliwych chorób?

— Wcale tego nie uważam, a zresztą, gdybyś naprawdę mnie

względnie czytywała romanse, w nagrodę za co zabierasz ją na Wielkanoc i Boże Narodzenie do teatru, którym nie przestaniesz jakoś nigdy się interesować.

Masz zupełną rację, Gustawie: nie wolno być słabym w postępowaniu z kobietami. Pofolgować trochę — a już im się zdaje, że świat jest stworzony na ich podózek. Mają doskonałą pamięć, jak długo chodzi o obiecanie nylony, jednakże pamięć ta znakomicie zawodzi w odniesieniu do pewnych rozmów, pewnych wniosków i stwierdzeń. W wyniku dyskusji z mężami — kają się, oskarżają same siebie, przesadnie zresztą i nadmiernie, że są złymi gospodyniami, złymi matkami i zornymi. Wypowiadają zdania w rodzaju: „jesteś dla mnie za dobry”, „nie jestem ciębie warta”, „powinieneś mnie krótko trzymać”. Przy najbliższej jednak sposobności okazuje się, że fiut!... wszystko to gdzieś uleciało, w powietrze, do księżycy czy do lampy. Więc jak jest w końcu naprawdę? Albo — albo — no nie?

Zapamiętaj sobie, Gustawie! Pamiętaj ty, skoro Marta cierpi na anemię pamięci: kobiety muszą czuć nad sobą bat. Szanuj takich jedynie mężczyzn, których się obawiają.

MIJESCE KRÓLEWSKICH GOŚCI ZAJĘLI „ZWYKLI LUDZIE“

ABY DOSTAC SIĘ do Stalino- gródu do Cieplic-Zdroju, trzeba przesiąść się w Jeleniej Górze. Mały pociąg, złożony z czterech wagonów, ściąga go do Szklarskiej Poręby. Cieplice są pro drodze.

Obok mnie siedzi stary górnik śląski, Jan Herisz z Zabrza. Zbliża się już do siedemdziesiątki, ale jak twierdzi, „nikaj“ jeszcze nie był. Teraz, na starość, lekarz kopalniany skierował go do Cieplic, aby leczyć tam swój reumatyzm. Herisz spogląda ze zdumieniem na świat za oknami pociągu. Przejedźmy nowowybudowanym mostem — stary górnik wychyla się i ciekawymi oczyma spogląda w dół.

— O, wysoki most... — mówi. Rozgadali się gwarą śląską, a cały wagon rozsiadł się, oserwując z wzruszeniem sympatycznego górnika, który dopiero po raz pierwszy wyruszył „w świat“.

Lecz oto już Cieplice.

DO WÓD DOLNOŚLĄSKICH Po- lacy jeździli z dawien dawna. Najwięcej polskich kuracjuszy dał wiek XIX, a szczególnie czasy powstaniowe, gdy z szerokiej tait emigracji i bojowników powstań listopadowego, a później styczniowego, liczne grupy zahaczyły o Cieplice Śląskie. Wiele Polaków tu pomarło, o czym świadczą epitafia rzeźbione w polskim języku na cmentarzu zdrojowiska. Ale tradycje to świeże, nie tak dawne.

Mamy starsze, bo z wieku XVII, kiedy to do Cieplic Śląskich zjechała wraz z synami i coreczką żona króla Jana III, Marysienka Sobieska. Królowej towarzyszył wtedy znaczny orszak o znamienitszych pan i panów polskich, którzy wraz z „Marysienką“ zająli w Cieplicach kurację.

Trudno bliżej określić, jaką to kurację przyjechała przeprowadzić w Cieplicach zona zwycięzcy spod Wiednia, ale pewne, że „kuracja“ ta miała aspekt polityczny. I dlatego cesarz Leopold I czuł się w Wiedniu mocno niażaniepokojony. Zadał sobie skrycie pytanie: czyżby Polska zamierzała wszcząć w stosunku do Śląska akcję rewindykacyjną?

Specjalny wysłannik cesarski donosił zatem z Cieplic o wszystkim, co w zdrojowisku czyniła piękna „Marysienka“ i jej królewscy goście. Pisał, że poisey goście suto piącą polską monetą, że ktoś poprosił królowę o matkę chrzestną i że goorze byohy, aay wizyta polskiej królowej jak najszybciej skończyła się.

ROZWOJ Cieplic jest niewątpli- wie związany z znaczeniem ciepłych źródeł, w pobliżu których ludzie osiedlili się, traktując je jako miejsca lecznicze. W roku 1281 Bolesław I Surowy, książę świdnicki, do którego należały również Cieplice, sprowadził tu zakonników Joannitów. Ci wybudowali klasztor i szpital, a źródła lecznicze wykorzystali do leczenia chorych. Tak więc Cieplice — to najdawniejsze polskie zdrojowisko.

Do Cieplic przesyłali pod opieką Joannitów przez przeszło sto lat. Był to burzliwy okres w historii Śląska, co wpłynęło w duży stopniu na losy zdrojowiska. Bolko II, syn Bernarda Świdnickiego, a po kądzieli wnuk Władysława Łokietka, odrzucił przyjęcie czeskiej Janna, a w okresie wojny polsko-czeskiej zbrojnie poparł Polskę w roku 1345. Dopiero w 1381 roku Cieplice przeszły pod panowanie niemieckie. Stały się one własnością prywatną Gozta II, dworzianina księżny Agnieszki. Rodzina ta

znana była później pod niemiecznym nazwiskiem Schaffgotschów. Szafigoczwowie, polskiego herbu Junceza, spokrewnieni z rodem polskim śląskich Piastów, byli „od Polaków Niemcami, a od Niemców Polakami zwani“.

Szafigoczwowie, którzy stopniowo stali się panami całej kotliny jeleńskiegorskiej, nabywszy Cieplice, osiedlili się tu na stałe i zbudowali wspaniały pałac. Miasto stopniowo niemieczyło, co zamożniejsze mieszczanie i szlachta wynaradawiała się, jedynie proletariats miejski i okoliczni chłopci pozostają wierni polskości. Nawiazując do wspomnień związanych z dawną przeszłością Cieplic, warto wspomnieć, że wśród polskiej ludności, która nieprzerwanym łańcuchem pokoleń przetrwała na swojej od czasów piastowskiej ziemi, zachował się częściowo dawny staropolski język oraz szereg wyrażań i zwrotów prawie już zupełnie zapomnianych.

Do dzisiaj wznosi się przy ulicy Kościuszki w Cieplicach kolumna z figurą św. Jana Nepomucena ciekawa z tego względu, że wystawił ją w roku 1788 niejaki Gurowski, który podkreśla w tablicy erekcyjnej, że jest szlachcicem (comes) narodowości polskiej (gente Polonus) i pisarzem (scriba) Szafigoczwów. Widać z tego, że żywił polski przetrwał tu, mimo braku łączności z Polską, bardzo długo i że smiało się do tego przyznawano, a nawet za honor miał sobie Imc pan Gurowski, że jest „gente Polonus“.

JAKO UZDROWISKO Cieplice zaczęły się znaczej rozwijać od XV wieku. W roku 1403 został tu wybudowany duży basen do kąpiel leczniczych, a w roku 1537 — drugi basen oraz obszerny budynek, zwany „długim domem“. Dzięki temu znacznie większa liczba kuracjuszy mogła znaleźć pomieszczenie w Cieplicach i korzystać z leczniczych kąpieli cieplickich. Jeden basen został przeznaczony do użytku ogólnego, a drugi był udostępniony tylko w pewnych godzinach i kapano się tam pod kontrolą. W wieku XVII Cieplice posiadały już ustaloną sławę i znane były niemal w całej Europie. Leczone tam chorych z dolegliwościami reumatycznymi, nerwowymi i kobiecymi, a osobliwoscią zdrojowiska stało się kąpielisko dla chorych koni.

Dalszy rozwój Cieplic jako zdrojowiska nastąpił w wieku XIX. Przeprowadzono wtedy wiercenia, których otwór sięgał głębokości 60 m i zapoczątkowano stosowanie borowiny. Po pierwszej wojnie światowej zainstalowano nowe urządzenia techniczne do zabiegów leczniczych, jak kąpiele mineralne, kwasosowęłowe i wodnoelekttryczne. Wprowadzono także elektroterapię i zastosowano borowinę na szerszą skalę. Ponadto wybudowano trzy baseny kąpielowe dla mężczyzn i trzy dla kobiet, a w roku 1924 postawiono nowy dom zdrojowy.

EUGENIUSZ DOMAGALA ma lat trzydzięści, ale wygląda o wiele starsze. — To choroba mnie tak zjadła — mówi wstając z łóżka, na którym odpoczywał po obiedzie. — Przez siedem lat nie mogłem ruszyć się o własnych siłach. Kręgosłup — sztywny! Reumatyzm poza tym obie nogi mi pokręcił... Hm, ciężko by-

ło leczyć się, pieniądze nie było. Ale teraz Samopomoc Chlopska wysłała mnie tu na bezpłatne leczenie.

Trzy tygodnie temu nastąpił szczęśliwy dla Domagaly dzień, kiedy to po raz pierwszy od siedmiu lat wstał z łóżka i powoli, oparty o ramie pielęgniarkei, przeszedł o własnych siłach korytarzem sanatorium...

Józef Lipka zostawił w Cieplicach obie łaski, z którymi do zdrojowiska przyjechał. Zabiegi lekarskie i cieplicki klimat sprawiły, że zdrowiony Lipka już lasek nie będzie potrzebował. O, wczoraj nawet tańczył w kawiarni w parku zdrojowym.

— Bardzo jestem wdzięczny naszemu lekarzom za przywrócenie mi zdrowia, ale najbardziej jestem wdzięczny naszej ludowej ojczyźnie, że takim zwykłym ludziom jak ja udostępniła bezpłatne leczenie w pięknych zdrojowiskach.

Bo też tym „zwykłym ludziom“

tyzmu, liczba dni pracy straconych z powodu tej choroby wynosi w ciągu roku trzy miliony. Jest to około dwudziestu procent wszystkich przypadków niezdolności do pracy.

W Polsce na reumatyzm choruje mniej więcej pięć procent ludności, co stanowi przeszło milion chorych w całym kraju. Reumatyzm jest u nas przyczyną wielkiej liczby kalectw całkowitych lub częściowych. Powykręcane reumatyzmem ręce nie biorą udziału w naszym ogólnokrajowym wysiłku. Reumatyzm atakuje dzieci, młodzież i ludzi w tzw. „sił le wieku“, ludzi najbardziej społeczeństwu potrzebnych. Reumatyzm nie leczony może u nich trwać przez całe życie. Choroba ta jest więc sprawą nie tylko cierpienia jednostki, ale stała się zagadnieniem społecznym. Dlatego prowadzi się z reumatyzmem szeroko zakrojoną walkę.

Cieplickie sanatorium przeciwgośćcowe posiada szereg urządzeń

wanny i natryski, oddział elektroterapii, oddział masażu, inhalatorium i zakład gimnastyki leczniczej.

Źródła cieplickie tryskają samorzutnie ze szczelin, mających charakter pęknięć poprzecznych. Wypływają z czerwonego granitu, zalegającego pod warstwami aluwialnymi doliny cieplickiej. Ujawniły się dzięki odkrywkom, a tylko dwa zostały wywiercone, mianowicie Źródło Nowe na głębokości 108 m i Źródło Ludwika na głębokości 158 m. Temperatura tych wód jest następująca: Źródło Linkego — 20°, Źródło Ludwika — 25,5°, Źródło Antoniego — 27,7°, Źródła Basenu Wschodniego i Zachodniego — ponad 36°, a Źródło Nowe — 41°.

Kąpiele w basenach cieplickich mają bardzo duże znaczenie dla usprawnienia czynności mięśni i stawów w przewlekłych schorzeniach reumatycznych i stanach porażenia. Dotyczy to przede wszystkim narządów ruchu, które z reguły wykazują zmiany chorobowe. Ograni-

czające ruchomość kończyn. W przypadkach takich przyczyną jest ból, z powodu którego chory unika wykonywania ruchów, albo daleko posunięty zanik mięśni uniemożliwia pokonywanie oporu, stawianego przez ciężar kończyn. Inaczej jednak dzieje się, gdy chory przebywa w basenie cieplickim. Występuje wówczas zjawisko, wynikające z działania prawa Archimedeasa, że „ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile wynosi waga wypartej cieczy“. Ma to szczególne znaczenie dla mięśni zanikowych o zmniejszonej sile skurczu. Kończyna zanurzona w kąpiele traci znacznie na wadze i nie przedstawiła dla słabego mięśnia oporu. Chory porusza w basenie rękami i nogami bez większego wysiłku mimo słabego oporu stawianego przez wodę i jest zdolny do wykonywania gimnastyki podwodnej. Ma to niezmiernie ważny wpływ na odzyskanie lepszego samopoczucia i skuteczność kuracji.

Wody siarczane, a zwłaszcza cieplickie, zyskały sobie z dawien daw-

na sławę jednego z najsukuteniejszych środków balneologicznych w walce z reumatyzmem. Są one stosowane w postaci kąpieli w wannie, jak również w kuracji pitnej.

DO UZDROWISKA w Cieplicach Anna Zielińska przyjechała w bardzo ciężkim stanie. Ale groźniejszy od choroby był psychiczny stan pacjentki, która nie wierzyła we własne siły, ani w to, że będzie mogła pracować.

— Być dla kogoś ciężarem przez całe życie, to straszne... — mówiła lekarzom.

Ci jednak nie zrezygnowali, postanowili pomóc Annie, pokazać jej, że jednak jest pełnowartościowym człowiekiem i że będzie mogła pracować.

Na wystawie prac pacjentów cieplickiego zdrojowiska zwracało uwagę dziewięć ładnych słoń filcowych, wykonanych wprawna ręką. Ta „wprawna ręka“ okazała się „pokręconą“ do niedawna ręką Anny Zielińskiej, która przyjechała do sanatorium nie wierząc we własne siły i w możliwość jakiejś pracy. Dziewięć wystawionych słoń „przyniosło jej szczęście“. Po powrocie do zdrowia została instruktorką we wrocławskim instytucie zdobniczym.

Podobnych przykładów lekarz sanatorium, dr Roman Rettinger, może opowiedzieć wiele. Zastosowanie podczas leczenia tzw. „terapii zajęciowej“, czyli leczenia pracą daje bardzo dobre wyniki w poprawie ogólnego samopoczucia pacjentów. A tym samym zwiększa się możliwość wyleczenia.

Do uzyskania lepszego samopoczucia przyczyniają się także rozrywki, których dostarcza dyrekcja zdrojowiska poprzez swych pracowników kulturalno-oświatowych. Organizują oni w poszczególnych pawilonach sanatorijskich pogadanki, dyskusje o książkach, wyświetlanie obrazów przy pomocy epidiaskopu i wycieczki w piękne okolice Cieplic. Łatwo można tramwajem dojechać do lasów Podgórzyna, albo do Sobieszowa, skąd można zorganizować przyjemny spacer do ruin piastowskiego zamku „Chojnasty“, do Jeleniej Góry dochodzi tramwaj. Tam właśnie spotkał się nasz gość znajomego, starego górnika z Zabrza, Jana Herisza, który jeszcze dotychczas „nikaj“ nie był. Chodził po osiemnastowiecznym rynku i oglądał przysadziste kamienie z podceniami. Bardzo mu się podobała. Zegnając się z nami powiedział:

— Na starość, ale i to sobie obejrzałem wiele. A w przyszłym roku też do jakichś „wód“ pojedę. Tylko już gdzie indziej... *



Cieplice — pijalnia wód

leczenie w Cieplicach jest bardzo potrzebne. Bliżej zbadane zagadnienie chorób reumatycznych wykazało, że liczne i różnorodne schorzenia gośćcowie stanowią niemożliwą sę społeczną. Statystyka alarmuje, że na reumatyzm choruje kilkakrotnie więcej osób, aniżeli np. na gruźlicę.

Dotychczasowe obliczenia, dotyczące reumatyzmu w Polsce, nie są dokładne, gdyż nie wszyscy chorych na reumatyzm leczą się, sądząc jednak że statystyki lekarskich dochodzą się do przekonania, że reumatyzm jest najczęstszą chorobą przewlekłą. Statystyki niektórych krajów podają, że na reumatyzm choruje dziesięciokrotnie więcej ludzi niż na gruźlicę czy kurczycę. Reumatyzm jest dwukrotnie częstszy niż choroby serca, a tuberculoza, że większość chorób serca jest właśnie wynikiem reumatyzmu. Statystyki szwedzkie podają, że około ośmiu procent mieszkańców tego kraju stale choruje na reumatyzm. W Anglii, gdzie najprawdopodobniej jest najczęściej przypadków reuma-

technicznych do wykonywania zabiegów leczniczych. I tak w dziale kąpiel mineralnych są wanny i baseny do wody ciepliczej oraz baseny, gdzie stosuje się gimnastykę i masaż podwodny. W dziale borowinowym stosuje się przysmaczające zdrowie kąpiele borowinowe. „Kuchnia“ borowinowa jest nowoczesnie urządzona i wyposażona w młynki i kładzie z mieszałem o napędzie mechanicznym, a specjalne urządzenia pozwalają na mechaniczne tłoczenie przygotowanej papki borowinowej do wanien wprost z kadzii. W kabinach ustawione są dwie wanny — jedna na borowinę a druga na kąpiel oczyszczającą.

Temperatura wody bijącej z cieplickich źródeł wynosi od 20 do 41 stopni Celsjusza. Są to najgorętsze termy w naszym kraju. Ich zjawienne działanie lecznicze przynosi ogromną ulgę ludziom, cierpiącym na schorzenia reumatyczne. W pawilonie I cieplickiego sanatorium mieszczą się takie urządzenia lecznicze, jak baseny do kąpieli zbiorowych w wodzie ciepliczej,

czające ruchomość kończyn. W przypadkach takich przyczyną jest ból, z powodu którego chory unika wykonywania ruchów, albo daleko posunięty zanik mięśni uniemożliwia pokonywanie oporu, stawianego przez ciężar kończyn. Inaczej jednak dzieje się, gdy chory przebywa w basenie cieplickim. Występuje wówczas zjawisko, wynikające z działania prawa Archimedeasa, że „ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile wynosi waga wypartej cieczy“. Ma to szczególne znaczenie dla mięśni zanikowych o zmniejszonej sile skurczu. Kończyna zanurzona w kąpiele traci znacznie na wadze i nie przedstawiła dla słabego mięśnia oporu. Chory porusza w basenie rękami i nogami bez większego wysiłku mimo słabego oporu stawianego przez wodę i jest zdolny do wykonywania gimnastyki podwodnej. Ma to niezmiernie ważny wpływ na odzyskanie lepszego samopoczucia i skuteczność kuracji.

Wody siarczane, a zwłaszcza cieplickie, zyskały sobie z dawien daw-

WIPIĘKYM cieplickim parku zdrojowym gra orkiestra. Miłe tony muzyki wpadają w uszy wraz z brzęczeniem letnich owadów. Przyjemnie jest tu posiedzieć na ławce lub połozyc się na leżaku. W cienistych alejach można spotkać chodzących o własnych siłach „zwykłych ludzi“, Józefa Lipkę i Eugeniusza Domagale, którzy w czasie wolnym od kąpieli, inhalacji i innych zabiegów, żywo dyskutują o ostatnim filmie, na którym wczoraj byli w miejsowym kinie.

Z parku roztacza się przepiękny widok na zasnut niebieskawymi chmurami górskie pasmo Sudetów. W XVII wieku widokiem tym zachwycała się piękna „Marysienka“, która z kolei budziła podziw u odbijającego tu kurację nuncjusza papieskiego, Santo Croce. Dzisiaj po pięknej łoże zwięzności spod Wiednia, została tylko nazwa wody mineralnej, a urodą i pięknem Cieplic zachwycają się tysiące ludzi pracy, tych „zwykłych ludzi“, którzy zajęli w zdrojowisku miejsce królewskich gości. Ci „zwykli ludzie“, dzięki starannej opiece lekarskiej i leczniczemu właściwościom zdrojowiska, szybko powracają do zdrowia.

STEFAN LICHANSKI

POZA KRĘGIEM GŁODNYCH ŻYWIOŁÓW

„Barwa świata“ przewyższa wczesniejsze powieści Skierskiego zwiartością konstrukcji, jasnością koncepcji zagadnień artystycznych. Równocześnie jednak wydaje się ona w porównaniu z nimi daleko mniej efektowna artystycznie. Gdyby jednak z tego stwierdzenia ktoś chciał wyciągnąć wniosek, że Skierski kładzie teraz większy niż dawniej nacisk na elementy „treściowej“, usuwając na pian drugie kwestie „formy“ — popeniłby zasadniczy bład.

„Barwa świata“ jest po prostu książką bardziej epicką, niż np. „Nieurodzaj“, czy „Głodne żywioły“ i dlatego jej kształt artystyczny formował się pod naciskiem innych potrzeb twórczych. W innym klimacie pracy pisarskiej, niż kształt wymienionych poprzednio utworów.

Epickość ujęcia wyznaczał w dużym stopniu sam materiał: biografia Chelmońskiego. Oczywiście, autor może i taki materiał spojztko-

wać w sposób dowolny, może zdecydować się go, rozbić na elementy, które później formować będzie w całość budowaną według ściśle osobistej koncepcji, według własnego prywatnego rozumienia przedstawianych w dziele ludzi i faktów. Co kierowało Skierskim, że nie uległ pokusie pisania o Chelmońskim w taki właśnie „fantazyjny“ sposób, jest jego sprawą prywatną. W każdym razie decyzja autora „Sztuki umierania“ była i słuszna i celowa. Nie będę zajmował się konfrontowaniem narekowanej przez Skierskiego sylwetki naszego wielkiego malarza z tym, co mówią o nim materiały źródłowe. Nie ulega bowiem wątpliwości, że artystyczne materiały takie mogą być wykorzystywane w sposób bardzo rozmaity i że o ustaleniu jakiejś ich „kannoicznej“ interpretacji w ogóle nie można mówić.

Skierski napisał książkę o Chelmońskim; nie monografię, nie popularyzatorsko traktowane szkice biograficzne, ale powieść. Powieść ta ma dwa bohaterów: Chelmońskiego i malarstwo. Partie poświęcone analizie poszczególnych obrazów lub opisu pracy artysty, zbierania przez niego materiałów, zmagania się z różnorodnymi trudnościami twórczymi nie są tylko fragmentami życiorysu Chelmońskiego.

go. Skierski stara się wprowadzić czytelnika w sekrety kuchni artystycznej, pokazać specyficzną problematykę twórczości malarzkiej. „Barwa świata“ odegra dla wielu czytelników rolę książki „wprawdającej w malarstwo“, odczuwając zarówno naiwnego przecierania anegdota, jak i „wyrafinowanego“ zachwycania się dobrnymi szczegółami wykonania, technicznymi detalami, które ważne są jedynie jako elementy całości, ale często stają się dla niezorientowanych w sztuce malarzkiej, przedmiotem przesadne adoracji podzytych snobizmem „fachowców“. Ten walor dydaktyczny książki Skierskiego jest zresztą jedynie ubocznym produktem podjętej przez autora próby scharakteryzowania różnych kierunków artystycznych tamtej epoki i różnych postaw twórczych, ujmowanych zawsze nie tylko w aspekcie czysto artystycznym, ale również moralnym i społecznym. Skierski poświęcając wiele uwagi twórczości Brandta, Gierymskiego, Witkiewicza i innych nie tylko zarysowuje dokładnie tk twórczości Chelmońskiego, lecz także przedstawia problematykę ówczesnego malarstwa w jej społecznych warunkowaniach (problemat „zamówienia społecznego“ okreslanego przez snobizm interesujących się sztuką artystów i oceniających ją z naiwnie dydaktycznego i moralizującego stanowiska „znawców“ z warszawskiej Zachęty, handlowa strona zawodu malarzkiego, sytuacja twórcy i materialna artysty itp.). „Barwa świata“ jest obrazem

pewnego okresu dziejów sztuki europejskiej, ale obrazem ukazującym hierarchie zagadnień i postaw twórczych, obrazem-osądem. W ten osąd przeszłości wpisana jest koncepcja humanistycznej, zaangażowanej społecznie postawy twórczej, koncepcja praktycznej moralności artysty.

Skierski nie przedstawia na zbeletryzowaniu biografii Chelmońskiego, lecz szuka w niej elementów faktacji właśnie postawy i traktuje je jako ośrodek krystalizacyjny swojej koncepcji powieściowej. Wydobijając z życiorysu bohatera powieści to wszystko, co świadczy, że dla Chelmońskiego sztuka była formą moralnej, na wskroś humanistycznej reakcji na rzeczywistość, w której żyć mu wypadło, Skierski tworzy powieść o spemiuoniam (spelnionym choćby w pewnej mierze) ideale postawy twórczej, oddającej sprawiedliwość ludziom i sprawom swojego czasu. I nie jest tworzenie mitu, legendy o hagiograficznym zakroju. Skierski po prostu akcentuje te momenty życia i twórczości Chelmońskiego, w których najwyraźniej daje znać o sobie ta właśnie postawa artysty. Mierzy swojego bohatera — jako człowieka i malarza — miarą najwyższych jego możliwości.

Taki stosunek do postaci powieściowych nie jest u Skierskiego nowością. I w poprzednich jego utworach zawsze chodziło o kwestię realizowania lub nierealizowania przez bohaterów najwyższej dostępnej dla nich miary ideału moralnego. Sam jednak ideał rysował się dość mgli-

sto. Nie jestem pewny, czy trafnie oceniam intencje autora, ale zawsze odnosiłem przez lekturę jego książki wrażenie, że ideałem tym jest najpełniejsze realizowanie własnej osobowości przez czynne stosowanie przykazania chrześcijańskiej miłości bliźniego. Był w tym stanowisku godny szacunku maksymalizm postawy moralnej, który jednak we wcześniejszych powieściach Skierskiego znajdował wyraz przede wszystkim w pełnym napięciu i pasji demaskowaniu najroźnorodniejszych form sprzeniewierzenia się ideałowi. Skierski dał się dotychczas poznać jako inteligentki Dante wdręający przez piekło tchórzliwie załganę i wzniosłość obłudnej mieszczańskiej kultury. W tym zacienieniu kręgu działania leżała zasadnicza słabość pisarza: stał się jeszcze jednym piewą inteligentki Dante wdręający przez piekło „straszego mieszczaństwa“ podejmującym w dodatku rozprawę w imię zbyt górnych i „zasadniczych“ założeń.

„Barwa świata“ to zdecydowane wyłamanie się z tego kręgu. Elementy antykolonialnej satyry zeszyły w tej książce na plan drugi, na plan pierwszy zaś wysuła się problematyka pozytywna, problematyka realizowania ideału, pojmwana już nie w sensie abstrakcyjno-ogólnym, lecz w konkretnym zastosowaniu, jako centralny problemat twórczości artystycznej i duchowego rozwoju bohatera. W powieści tej mamy do czynienia nie z inteligentem uciskany i dręczony

przez kołtuna, szarpanym przez wewnętrzne kryzysy i strapienia, ale pokazanym w swej najcenniejszej i najważniejszej roli: twórcy. Skierski pisał o sztuce często i dużo, żywi on nawet predylekcję do wyposaźania swych bohaterów w talenty artystyczne. Poprzednio jednak problematyka sztuki stanowiła w jego powieściach osobny nurt, była jakby wyższą kondygnacją przedstawianej w dziele rzeczywistości, azyłem, w który chronią się umęczeni bohaterowie Skierskiego, przed problematyką codziennego życia oddanego na łup kołtunom. Teraz pisarz pokazał problematykę codziennego trudu artysty — i kołtun wycofał się, szczerząc zęby, na peryferie powieści. „Barwa świata“ jest książką nie mniej inteligentką niż „Nieurodzaj“ czy „Głodne żywioły“, lecz podejmującą sprawę inteligenta jako współtwórcy i współorganizatora świadomości kulturowej swojej epoki i swego zdrojowiska, a nie jako bezradnej i udręczonej ofiary ludzi i okoliczności.

I dlatego z przyjemnością czyta się tę książkę i z przyjemnością pisze się o niej. „Barwa świata“, skromnie nazwana przez autora opowieścią, ma w sobie urok świeżości, urok tego drugiego, znamionującego pełną dojrzałość twórcy debiutu, który oznacza definitywne wyjście poza krąg inteligentkiej zgrzygot i utrapień, poza makabryczne inferno głodnych żywiołów, ku sztuce radośnie twórczej i afirmatywnej.

ODMŁODZONY „PAN TWARDOWSKI“

Najmłodszym teatrem operowym w Polsce jest Państwowa Opera Bałtycka w Gdańsku, utworzona w 1953 r. z dawnego Studia Operowego. Posiada też ona najmłodszy — tak co do wieku tancerzy, jak i co do okresu istnienia — zespół baletowy. Wystąpił on niedawno z drugą premierą baletową*, o której nie sposób jednak pisać w oderwaniu od specyficznych warunków lokalnych, w jakich była przygotowana.

Dominującą cechą gdańskiego zespołu baletowego jest niesiabny zapal i pasja pracy; wynikają one z umiłowania zawodu. To narzuca się jako pierwsze, niezwykle korzystne wrażenie każdemu, kto się z tą młodzieżą zetknął. Trwałość entuzjazmu mierzyć można miarą dotychczasowych osiągnięć w konfron-

dy ludowej wiecznie żywych i młodych pierwiastków humanistycznych. Czytamy więc w programie o Twardowskim, szukającym „w niespokojnych wędrówkach po świecie — sensu życia“, o wyzwolonym „od czartowskich pokus, czartowskiego bogactwa, czartowskiej sławy, rozgoryczonym niedobrym światem człowieku“. Jest to istotnie nowe „odczytanie“ legendarnej postaci — a jednak w życiu scenicznym nosi ona nadal cechy utartej swej konwencji: drugoplanowość, sztafażowość i pasywność Twardowskiego nic nam nie mówią o jego namyślnym poszukiwaniu życia, o rozgoryczeniach w zetknięciu ze złym światem. Dzięki wczesnemu przywróceniu młodości (już w 3 obrazie I aktu) i przedłużonemu okresowi młodzieńczych przygód mógł Twardowski przybrać

Zdolny młody zespół Opery gdańskiej i zdolny jej choreograf, Janina Jarzynówna — dowiedli w realizacji „Pana Twardowskiego“ zasobu wielkich możliwości artystycznych. Dla pełnego ich zużytkowania wydaje się konieczna większa ostrożność i bardziej przemyślany stosunek do następnych pozycji repertuarowych. Cenna świeżość i prostota gdańskiej grupy baletowej znalazłaby niewątpliwie swój pełny wyraz w równie prostych widowiskach, nie tak skomplikowanych jak „Pan Twardowski“. Nie wątpimy, że następna premiera baletowa na Wybrzeżu będzie celowym i pomyślnym krokiem naprzód w rozwoju młodej placówki.

Irena Turska



Scena zbiorowa (akt III) z baletu Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski“ w Państwowej Operze Bałtyckiej

tacji z miejscowymi trudnościami. Niewielka, bo licząca zaledwie 23 osoby, grupa baletowa rekrutuje się w większości z absolwentów lub nawet jeszcze uczniów miejscowej Państwowej Średniej Szkoły Baletowej i obsługuje normalny repertuar teatru zawodowego. Jednocześnie absorbuje ją nauka szkolna i stała praca nad sobą, nad zdobywaniem dojrzałości artystycznej i zawodowego doświadczenia, które w innych placówkach jest już udziałem przynajmniej połowy zespołu. Wspólna praca od początku istnienia instytucji, wspólne przełamywanie trudności, pierwsze doświadczenia i pierwsze zbiorowe sukcesy — wszystko to umocniło w młodzieży poczucie kolektywnej siły. Za wprowadzenie i utrzymanie tej atmosfery należą się słowa szczerego uznania założycielce i kierowniczej grupie — Janinie Jarzynównie, Warunki, w jakich on pracuje, nie są łatwe. Połączenie obowiązków szkolnych z zawodowymi, wielkie odległości trójmiasta, złe warunki lokalowe zarówno szkoły jak i Opery, cierpiąca na brak własnych warsztatów i brygad technicznych, własnej orkiestry — to dostateczna ilość przeszkód, stwarzająca wiele trudności przy realizacji każdego nowego widowiska. Nie można pominąć milczeniej trudności: braku własnego szewca teatralnego i skazania biednych nóg tancerki na dotkliwie skutki przysłówowego już braku obróbstwa C.O.P.I.A. w zakresie baletek!

W tej sytuacji podziwiać należy odwagę kolektywu Opery Bałtyckiej, z jaką podjął się tak trudnego zadania: zrealizowania całowieczorowego baletu.

Wybór padł na obarczonego wieloletnią tradycją „Pana Twardowskiego“. Czy słusznie? Przechodził do zobowiązania: albo do zachowania najświetniejszych tradycji tego baletu, albo do stworzenia zupełnie nowej i równie atrakcyjnej jego koncepcji. O zachowaniu dawnej świetności widowiskowej, wymagającej bogatej, baśniowej oprawy scenograficznej nie mogło być mowy w nader skromnych warunkach gdańskich. Stworzenie zaś nowej koncepcji wymaga wielkiego doświadczenia inscenizatora-choreografa, którego nabyć nie można po opracowaniu zaledwie jednego składanego wieczoru baletowego.

Właściwością młodości jest jednak mierzanie sił na zamiary! Toteż wniosła ona ofiarny wkład pracy, zapala, odwagi w przezwyciężeniu trudności przy realizacji „Pana Twardowskiego“. Potrafiła również, pomimo wielu nieuchronnych błędów i niedociągnięć, przepieścić całe widowisko swoją pasją i swym wdziękiem. Stary Twardowski odmłodził nie tylko wychodząc z diabelskiego kotła, lecz i spod pióra reżyserów programu. Celem nowej inscenizacji było wydobycie z legen-

domocniejszy kształt bohatera, o którym mówi komentarz w programie. Młody, zdolny tancerz o szlachetnej sylwetce, Roman Szymczak wniósł wiele młodzieńczej pasji w zmaganiu siwobrodęgo Twardowskiego z zagadkami wiedzy, nie rozwiniętą jednak konsekwentnie tej pasji stojącą w dalszych perypetiach zbyt już naiwnym, niedoświadczonym życiowo młodzieńcem. Stary, demoniczny Diabeł przestoczył się w interpretacji lekkiego, zwinnego w ruchach Rajmunda Sobiesiaka — w złośliwego chytrego Diabelka. Nawet czarownice, wiodące swój sabat na Krzemionkach, mimo przyprawionych krogulczych nosów, nie zdołały zataić w ruchu i gestie swych kilkunastu czy dwudziestu paru wiosien! Przekonywająca jest za to wesola zabawa na Ryńku Krakowskim i w Karczmie, gdzie króluję szczerza, młodzieńcza tańczeniowa ochota.

Choreograf Janina Jarzynówna-Sobczak, która wykazała duży talent kompozycyjny i reżyżerski w opracowaniu kameralnych form („Piotruś i Wilk“ do muzyki Prokofiewa z poprzedniego wieczoru baletowego), nie osiągnęła jeszcze zwartej jednolitości widowiska. Niebezpieczeństwo efektywności tkwi w samym balecie, będącym zbieraniną najróżniejszych stylów i nasuwającym wielką trudność w znalezieniu jednolitej koncepcji choreograficznej przy zachowaniu różnych środków wyrazowych. Najpewniej operuje choreografka środkami utanczonymi pantomimy, a scena napędzi lichwiarzy na Twardowskiego w I obrazie jest bardzo pomysłowo rozwiązana tańczeniowo. Ciekawa i oryginalna jest również koncepcja trudnego, o słabej sile oddziaływania na dzisiejszego widza, obrazu na Zamku Wawelskim, epizodu wywołania ducha Barbary Radziwiłłówny. Wprowadzenie muzycznym jest Polonez Tragiczny, wykorzystany przez inscenizatorów jako tło sennego marzenia króla Zygmunta. Drugim ryzykownym, a zarazem najsłabszym obrazem baletu jest „Wschód“. I tym razem ani choreograf, ani scenografie nie zdołały wyjść poza szablon i banal, pseudo-wschodnią minoderię, różowe tiule i złote cekiny — cały ten arsenal konwencjonalnej orientacji w nienajlepszym gatunku. Szczęśliwie skasowano wokalny duet miłosny.

Finał (dawna tradycja Apoteoza) — będący wyjawieniem sensu legendy, a pomyślany jako wyzwolenie Twardowskiego z czartowskiej mocy za modlitewnym wstawianiem ludu — wskutek prawdopodobnie trudności technicznych nie zyskał zamierzonego efektu. Zbyt długa przerwa przy zapuszczonej kurtynie rozbiła związek modlitwy ludu ze straceniem Diabła w przepaść. Szkoda również wielką, że przy nowej rewizji libretta zgubił się gdzieś kogut, nieodłączny rekwizyt legendy, związany z postacią Twardowskiego.

Nie jest już tajemnicą, że teatry polskie graty ostatnio coraz bardziej tak samo i — to samo. Z teatrem było prawie jak z plastyką: wąskimi wachlarzami odmiennie odpowiadać również wąski wachlarz ujęć artystycznych, równa ich poprawność, grzeszność, często nijakość. Zwłaszcza na prowincji nadal żenuje wprost brak śmielszego artystycznego programu. Niezliczona ilość scen powtarza za panią matką — stolicą „Drogę do Czarnolasu“, „Nieruchome plaski“, „Takie czasy“, „Wio, koniku, wio!... Jeśli oczekujemy dziś wszyscy jakiegosi przelotu w teatrze, spodziewamy się go najpierw w zakresie repertuaru. I z tęsknotą rozglądamy się po kraju za ośrodkiem, który pomógłby w walce o nowy, ciekawy repertuar. Lecz, o dziw, jest w kraju taki ośrodek. Niedawne ambicje Wrocławia przejął od pewnego czasu Gdańsk z jego trzema scenami Teatru „Wybrzeże“.

Wybrzeże gdańskie miało już kiedyś bardzo interesujący młody zespół teatralny. Było to za czasów Iwo Galla, kiedy Gdynia, Sopot, Gdańsk oglądały na swych scenach pięknie inscenizowane poetyckie utwory Szekspira, Mołiera, Słowackiego, Czechowa, Szaniewskiego, Gałczyńskiego. W końcu ubiegłego roku dokonano się nowe gruntowne odmłodzenie tutejszych teatrów. Po raz drugi stary Kraków przysłał Wybrzeżu zdolną młodzież aktorską z młodą ambitną reżyserem, Lidją Zamkową i młodym kierownictwem literackim w osobach Konstantego Puzyny i Leszka Herdegana, poety i zarazem aktora. Odmłodzony kolektyw idzie drogą realizmu, związał się najciszej z życiem społecznym, lecz podobnie jak niegdyś zespół Galla, szuka uparcie nowych dróg. Przede wszystkim w repertuarze.

Kierownictwo artystyczne „Wybrzeża“ unika pozycji martwych, retrospektywnie tylko ilustrujących, szuka sztuk z odniesieniem do współczesności, nasyconych emocjonalnością, poruszających czy to ostrością zawartego w nich ładunku krytycznego, czy też wizją nowego życia.

Jeśli przyjrzeć się trzem seriom wypuszczonych już premier, uderzyć muszą w nich na pewno nieprzypadkowe zbieżności i kontrasty: o-bok „Barbarzyńców“ Gorkiego, wstrząsającego obrazu inteligencji technicznej carskiej Rosji w jej demoralizującym zetknięciu z prowincją, widzowie nadmorscy ujrżeli „Poszukiwaczy“ Krona, historię innej, już współczesnej ekspedycji, wyprawę inżynierów radzieckich w poszukiwaniu terenów naftowych. Wczoraj i dziś, dwie ekspedycje o jakże odmiennym ludzkim obliczu! Podobną konfrontację dostrzegamy w zestawieniu „Nory“ Ibsena i „Zabusi“ Zapolskiej czy „Wielkiej gry“ Makarczyka z „Optymistyczną tragedią“ Wiszniewskiego. Jedne

z tych dzieł budzą w widzu nienawiść do wyzysku (we wszelkiej postaci) i innych zmór starego świata, drugie, ukazując walkę nowych ludzi w imię nowego życia, wyzwalają entuzjazm i ideową żarliwość. Takie repertuar zasługują na nazwę walczącego, a zważywszy przy tym, że większość jego pozycji to pierwsze po wojnie premiery, lub w ogóle polskie prapremiery tych dzieł. Nawet uznawając stylową klasykę potrafi teatr sięgać po rzeczy tak dawno u nas nie grane, jak „Zwady miłosne“ Mołiera (nie grane od stu lat) czy wystawiane tak rzadko, jak utwory Musseta („Nie igra się z miłością“). Teatry Wybrzeża mają dziś chyba najciekawszą w Polsce linię. Są teatrami odważnego repertuaru.

Z młodością zespołu, z nowością ambitnego repertuaru idzie w teatrach Wybrzeża w parze rzadko gdzie indziej spotykana świeżość realizacji scenicznych. Aby to odzuc, nie trzeba było nawet być na wielkich, rozbudowanych spektaklach w reżyserii Lidji Zamkowej, jak „Barbarzyńcy“, ujawniających w maksymalnym sposób zgranie zespołowe typowe dla tego teatru. Wystarczyło już obejrzeć bardziej kameralnych przedstawień jak przede wszystkim „Nora“ w reżyserii Zdzisława Karczewskiego czy „Nie igra się z miłością“ (reż. Hu-

gona Morycińskiego). Wyczuliwość tu i staranną robotę reżyżerską, i dużą kulturę słowa, połączoną z głębokim wewnętrznym przeżyciem roli. Młode szlachetne indywidualności aktorskie Haliny Zaczek, świetnej Nory, Anny Gołębiowskiej (Krystyna Linden) czy Kaliny Jedrusik (Kamilka z Musseta) zapowiadają się bardzo obiecująco. Kiedy pomyślnie wieści dochodzą również ze Szczecina czy Rzeszowa o absolwentach łódzkiej PWSA. a „Nadzieja“ Hejermansa w Teatrze Nowej Warszawy świadczy o dalszych postępach adeptów PWST, odmłodzony zespół gdański pogłębia jeszcze ufność, z jaką patrzymy na nowe pokolenie aktorskie Polski Ludowej, nie przestając oczywiście nadal niepokoić się zbyt małą liczebnością młodych kadr.

Andrzej Odnowa

„Maskarada“ na częstochowskiej scenie

SIEDZĄC w dużej i nowoczesnej sali Teatru Wielkiego w Częstochowie — uświadomiłem sobie nagle, że uczestniczę w bardzo niecodziennym zjawisku. Mianowicie oczekuję na ujrzenie jednego z najwspanialszych arcydzieł teatru romantycznego wystawionego po raz pierwszy w Polsce, właśnie tutaj, w Częstochowie, i to w sali szalenie zapelnionej, po dwudziestu kilku przedstawieniach, gdy równocześnie w Warszawie na próżno oczekujemy na ciekawą premierę z „wielkiego repertuaru“. Jednym słowem „Maskarada“ Lermontowa na częstochowskiej scenie to zdziwienie godne uwagi. Zaglądam do programu i dowiaduję się, że w roku ubiegłym publiczność tutejsza miała możliwość podziwiać „Dziwczynę z dżbanem“ — jedno z arcydzieł Lope de Vegi, „Jęgora Bulczowa“ Gorkiego, „Grzech“ Zeromskiego, „Balladyna“ Słowackiego, „Świętoszka“ Mołiera, „Ich czworo“ Zapolskiej... Jak na jeden rok to program bardzo bogaty i mieszkański spód Jasnej Góry mogą zażądać nosa wobec warszawiaków, że są bogatsi od nich o dwa dzieła, których stolica nie miała możliwości oglądać — komedię Lope de Vegi i tragedię Lermontowa. Świadczy to o dużych ambicjach teatru i o ogromnym awansie kulturalnym scen prowincjonalnych. Ale oto rozlega się gong i kurtyna idzie w górę...

„Maskarada“ Lermontowa napisana przez dwudziestodwuletniego poetę jest niewątpliwie jednym z najciekawszych dramatów epoki romantyzmu. Oryginalność jego polega na utrzymaniu niezwykle bogactwa romantycznego języka poetyckiego, przy równoczesnym nasyceciu sztuki realizmem obserwacji środowiska i charakterów. Można go nazwać również dziełem realizmu krytycznego w romantycznej szacie. Zastanawiałem się, czy „Maskarada“ jest tragedią, ale doszedłem do wniosku, że bohaterem jej brak jasnego, zdecydowanego profilu charakterów, ostrego starcia wysublimowanych konfliktów i „catharsis“ oczyszczającej, tragicznych, szalonych zbrodniarzy jak u Ajschylosa i Szekspira, tych cech, które decydują o „tragiczności“ w przyjętym historycznie sensie. „Maskarada“ Lermontowa ukazuje zbyt wiele ludzkich małości, aby móc być czystą tragedią, która odzyskuje swą pełnię dopiero na szczytach. Kim jest Jewgenij Arbienin, bohater dramatu? Wyobraźcie sobie kontaminację szalonego z zadróżki Otella z refleksyjnym Hamletem i to w ciele praktycznego „bonviveur“ a nie dość jasnej przeszłości... Nielatwa sztuka dla aktora odczytać postać tak bardzo niejednołitą. Natomiast łatwą do odczytania jest intencja autora, który z jednej sceny maskaradowej uczy-

nił motyw przewodni sztuki, a równocześnie symbol ówczesnego środowiska arystokratyczno-mieszczańskie, rozpróżnionego, żyjącego bez celu i sensu, sygnującego się plotkami i poddawianiem nóg. Gdy obserwujemy, w jak niszczącą falę zmienia się zwykle nieporozumienie, błahy żart maskarad wy: ofiarowanie księżcu Zwiędziczowi przez wdówkę, baronową Sztral bransoletki, zgubionej przez Ninę, żonę Arbienina — mimo woli przypomina się napis na szekspirowskim teatrze „Globe“: „Tolus mundus agit histrionem“ — cały świat gra komedię. W rezultacie Arbienin, szalony z zadróżki, osaczony przez sieć plotek towarzyskich truje własną żonę i znieważa publicznie księcia Zwiędzicza łamiąc mu karierę i odbierając część nazwiska, a sam pozostaje w opustoszałym domu, bliski pomieszkania zmysłów z rozpaczy.

„Sedno sprawy“ dramatu Lermontowa tkwi właśnie w tym, że Arbienin zbyt dobrze znał nikię, małość, podłość tzw. „wielkiego świata“, do którego się wspiął, aby móc uwierzyć w niewinność swej żony. Jego okrutna zemsta jest irracjonalnym protestem przeciwko obłudzie, wyrachowaniu i bezwzględności owego świata, jest odwetem za odebranie mu ostatniej wiary w jakąkolwiek wartość pozytywną. Odizolowane społecznie, bezideowe środowisko arystokratyczno-mieszczańskie zostało w „Maskaradzie“ osądzone bardzo surowo przez rosyjskiego poetę w kilkadziesiąt lat przed jego zagładą historyczną.

Trzeba stwierdzić od razu, że przedstawienie „Maskarady“ w Częstochowie było bardzo dobre; zapelnili jedną z przyjemniejszych kart mojego pamiętnika teatralnego. Oczywiście tak ogólną ocenę należy wydać uwzględniając możliwości, jakimi teatr rozporządza, i nie przykładać do niego kryteriów zbyt wygórowanych. Trudno nawet snuć porównania z klasycznym przedstawieniem „Maskarady“ w teatrze im. Mossowieu. Lecz mniejsza o porównania... Tego wieczoru przeżyłem prawdziwą ucztę teatralną. A jednak zachwyty nie może zatrzeć obserwacji krytycznych.

Rola Arbienina jest tak trudna do właściwego zinterpretowania aktorskiego, że przerasta właściwie siły przeciętnego, dobrego artysty. O pełnym wygraniu wszystkich tonów tej przedziwnie skomplikowanej psychicznie postaci może marzyć jedynie tragiczny najwyższej nary. Wystarczy przypomnieć scenę otrucia żony, w której pozorny chłód działania Arbienina musi w każdej chwili uprzytamniać, że w głębi wrze straszliwa, otellowska pasja zadróżki. Czesław Łodyński wydobyl z pewnością bardzo wiele

z postaci Arbienina, uniknął szczęśliwie przesady, która w każdej chwili mogłaby grozić melodramatem. Wyraził dobrze tragedię człowieka, który dążył przez całą młodość, nie bacząc na środki, do zaspokojenia zachcianek, a który nie chciał się pogodzić z złym obrotem losu wydzierającym mu nadeszłą w późnym wieku jedyną, wielką miłość. Jeżeli tej „wielotonowej“ gry nie udało mu się utrzymać w całości przedstawienia konsekwentnie — to i tak rola Arbienina zostanie osiągnięciem tego zdolnego artysty. Reszta zespołu dopisała mniej lub więcej. Bielówna w roli Niny wrzeszała szczerością i łagodnością. Edmund Płoński jako Kazimir był dobrym kompanem we wszelkiego rodzaju przygodach i przy kartach w szalemi. Tylko księżka Zwiędzicz (Wiesław Lichecki), wprawdzie sympatyczny, grał nieco jeszcze za mało dojrza-

Konrad Eberhardt



Kryształna Bielówna (Nina) i Czesław Łodyński (Arbienin)

* „Pan Twardowski“ — balet w 4 aktach (9 obrazach). Muzyka Ludomira Różyckiego. Inszenizacja, choreografia i reżyseria: Janina Jarzynówna-Sobczak. Kostiumy: Alicja Bobowska i Anna Lecewicz. Dekoracje: Wojciech Steciński i Janusz Tartyło. Kierownictwo muzyczne: Zdzisław Bytnar. Premiera 3.VI.1954 r. — Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka w Gdańsku.

MISTRZ FILMOWEGO EKSPERYMENTU

„W twórczej biografii Pudowkina, tak jak w zwierciadle, odbija się cała historia radzieckiej kinematografii z jej wielkimi zwycięstwami i niezliczonymi niepowodzeniami. Prace Pudowkina są potwierdzeniem jeszcze jednej bezspornej prawdy: artysta odnosi zwycięstwa wtedy, kiedy wszystkie środki swego mistrzostwa poświęca rozwiązaniu wielkiej i ważnej tematyki rzeczywistości, kiedy rozwiązuje te tematy głęboko, prawdziwie i jasno, z poczuciem przodującego światopoglądu, kiedy wstępnie jako artysta-bojownik, obywatel i patriota”.

G. Aleksandrow

M IJA rok od czasu ukazania się w prasie lakonicznej wzmianki, że „30 czerwca zmarł nagle na serce wybitny filmowiec, wielokrotny laureat Nagrody Stalinowskiej — Wsiewołod Pudowkin”. Dla polskiego widza kojarzy się nazwisko Pudowkina z takimi filmami, jak „Burza nad Azją”, „Admirał Nachimow”, „Zwycięzca przestworzy” czy „Odzyskanie szczęścia”, które były u nas wyświetlane w ostatnich latach. Jest to jednak niewielka część 30-letniego dorobku twórczego — reżysera, aktora, teoretyka, pedagoga, działacza społecznego, jednego z tych twórców, którzy obok Eisensteina, Chaplina i Griffitha kładli podwaliny filmu jako sztuki.

Ostatni jego film „Odzyskanie szczęścia”, wyświetlany u nas już po śmierci Pudowkina, był okazją do uwag i sformułowań podkreślających zalety tego filmu przede wszystkim jako eksperymentu artystycznego, może nie zawsze uwieńczonego powodzeniem, ale będącego jedną z najbardziej typowych cech tego wczesnego twórczego talentu. A co przeciętny widz wie o jego talencie, o jego dziele? Trzeba powiedzieć, że Pudowkin nie ominął w Polsce los pozostałych klasyków filmu. Pozostaje nadal głęboko zapamiętany. Apele krytyki filmowej i próby ukazania jego sylwetki mijają się z celem, gdy widz nie ma możliwości zobaczenia jego filmu. Artykuły mogą być jedynie komentarzem do dzieł, które próbą przewartościowania dorobku teoretycznego, który bez przykładów, tzn. filmów, także w większości będzie nieczytelny. Na świecie jest chyba tylko jedna filмотeka, która może „poszczycić” się posiadaniem zaledwie kilku ról z filmów Pudowkina — to archiwum filmowe w Łodzi; pozostałe posiadają bowiem w komplecie większość jego filmów. Jesteśmy jednym z nielicznych krajów posiadających instytucje zajmujące się zagadnieniami kultury filmowej, ale wśród

de jego spotkanie z polskimi filmowcami, czy to u nas w kraju, czy podczas pobytu naszych delegatów w ZSRR, było manifestacją tych przyjaznych uczuć.

Jest coś bardzo przykrego w tym zjawisku i paradoksalnego jednocześnie, że filmy Pudowkina nie dopuszczane na ekrany dwudziestolecia przez cenzurę sanacyjną, dziś pozostają równie nieznaną dla widza, że w ciągu dziesięciolecia władze repertuarowe nie zdobyły się na urządzenie choćby tygodnia filmów Pudowkina (choćby organizowano tyle różnorodnych tygodni), że władze kinematografii przy tytuł nadających się okazjach nie zdobyły się na sprowadzenie do archiwum choćby najwybitniejszych dzieł Pudowkina, że nie ma dziś w Polsce studenta szkoły filmowej, który widziałby w całości „Matkę”, że ci przedstawiciele kinematografii, którzy z okazji wystąpienia programowych z takim upodobaniem cytują ten film, nie mają o nim pojęcia.

Słowa o realizmie socjalistycznym w filmie pozostała frazesem do czasu, aż poznamy najwybitniejsze filmy i prace teoretyczne Pudowkina — można zawołać z powodzeniem, ale bowiem niezwykle bogate życie i twórczość tego wybitnego artysty były walką o realizm, walką o stworzenie sztuki socjalistycznej.

Pudowkin rozpoczął studia filmowe dopiero w wieku 27 lat, już jako wykształcony chemik, człowiek wrażliwy na muzykę, ogromnie odczytany, władający z powodzeniem tak kilkoma obcymi językami, jak pędzlem i paletą, mający zamiłowanie do sztuki aktorskiej i niemalą sztuką życia wyniesioną z lat wojny, obozu niemieckiego, pracy w przemysle.

Po pięciu latach wszechstronnej i bogatej praktyki u najwybitniejszych twórców, m. in. u Gardina i Kuleszowa i jednoczesnym ukończeniu studiów, Pudowkin rozpoczyna

strukturyzującą koncepcję Kuleszowa, teatrowi filmowemu Gardina i olśniewającym koncepcjom montażowym kolektywistycznych widowskich Eisensteina — Pudowkin przeciwstawił jednostkowego bohatera, którego losy toczą się w niezwykle przejrzystym i surowym zarzemu toku narracji. Przedstawiał obraz rewolucji nie w pełnych rozmachu scenach wrzenia, gdzie bohaterem jest tłum zbuntowanych, lecz poprzez historię poszczególnych ludzi, w których losach przełamują się wielkie wydarzenia historyczne. Bohaterowie Pudowkina to nie tylko wspaniałe typy i twarze, ale ludzie widziani od wewnątrz, zindywidualizowani, typowi i niepowtarzalni. Koncepcje montażowe nie ograniczają się tylko do tworzenia emocjonalnych skojarzeń, lecz są żelazną dyscypliną ujęć dyktowanych tokiem fabuły.

Jeden z wybitnych krytyków filmowych Leon Moussinac napisał, że każdy film Eisensteina jest jak krzyk, zaś każdy film Pudowkina jak pieśń. Dokumentarzysta angielski Basil Wright pisze we wspomnieniu pośmiertnym o twórcy „Matki”, że Pudowkin nie był wybuchowym geniuszem typu Eisensteina, oslepiającym wokół swoimi promieniami, ale twórcą, który, jeśli można tak porównać, od czasu do czasu podsyca ogień. Pudowkin — mówi ten sam — był, jak głosi tytuł jednego z filmów, prostym zdarzeniem. Głęboko prostym.

Następne dwa filmy Pudowkina zamykające genialną niemiłą trylogię: „Koniec St. Petersburga” i „Burza nad Azją” są potwierdzeniem tej genialnej prostoty. Historia — wydarzenia Rewolucji Październikowej i walki ludów z imperialistycznymi interesami w Azji — przełamuje się w losach prostych ludzi. W losach chłopów, który staje się świadomym rewolucjonistą i mongolem obejmującego przewodnictwo ruchu wyzwolenieckiego.

Po latach 1926 — 1928, w których rokrocznie dawał światu Pudowkin genialne dzieła, przyszyła ochota na zrealizowanie filmu kameralnego, opartego na modnym wówczas typie

IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki



Dnia 21 czerwca br. w gmachu „Zachęty” w Warszawie min. Kultury i Sztuki Wł. Sokorski dokonał otwarcia IV Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki. Na wystawę nadesłano blisko 3000 prac, z tak bogatego materiału jednak komisja kwalifikacyjna wybrała do ekspozycji tylko 705 prac, w tym 328 w dziale malarstwa, 305 z grafiki i 72 rzeźby. Jury liczyło się przede wszystkim z odbiorcą. Dobór prac dokonywał się według kryterium — stworzyć wystawę, która mogłaby w najszerszym stop-

niu zainteresować widza i stanowiła rzeczywiste odbicie stanu naszej współczesnej sztuki plastycznej. Znamienny dla obecnej wystawy jest fakt udziału w niej dużej ilości artystów młodego pokolenia, którzy twórczość swą rozpoczęli dopiero po 1949 roku, to znaczy po okresie radykalnego zwrotu w naszej sztuce w kierunku realizmu socjalistycznego.

Na zdjęciu replika obrazu Juliusza Studdnickiego z Gdańska — „Młyn nad Radunią”.

ukazuje się jego film „Dezenter”, który wprawdzie ponownie spotyka się z niepowodzeniem i potępieniem krytyki, ale który w rozwoju sztuki filmowej wyciąga po dziesięć czasu stereofonicznego dźwięku. Eksperyment pożałował bohaterów filmu i tym, razem.

Wielki mistrz niemelego filmu milknął na 5 lat. Przyczyną w tym okresie głębokie dojrzenie ideologiczne. Wstępuje do WKP(b). Jest wykładowcą w szkole filmowej. Ukazuje się jego praca „Aktor w filmie”, która jest pierwszym w literaturze filmowej usystematyzowanym wykładem pracy reżysera filmowego z aktorem.

W r. 1938 realizuje przeciętny film „Zwycięstwo” z życia lotników i dopiero dwie następne pozycje „Mimn i Pożarski” i „Suworow” przynoszą rehabilitację artystyczną. Lata premier 1939 i 1941 są szczytem osłabienia Pudowkina w okresie filmu dźwiękowego. Popularność i prostota filmów, a jednocześnie barwność i atrakcyjność tła, mają coś w sobie z wielkiej epiki, wyczelowanej pod względem rzemiosła reżyserskiego. Filmy te zyskiują niezwykłą popularność u publiczności i wkrótce wienczy je Nagroda Stalinowska.

Lata wojny poświęca Pudowkin na realizację takich filmów, jak „W imię ojczyzny”, „Mordercy wychodzą na drogę”, „Bankiet na Zyruncu”, które tematycznie poświęcone są walce narodu radzieckiego z faszystami, ale w których próby eksperymentowania w zobrazowaniu faszystów, stylizowaniu ich postaci, skazały te filmy na przeciętność.

W 1944 r. Pudowkin rozpoczyna realizację filmu historycznego „Admirał Nachimow”, którego pierwsza wersja w 1946 r. spotkała się z krytyką.

Ostatnie lata życia poświęca Pudowkin wszechstronnej działalności pedagogicznej i społecznej. Prowadzi wykłady w Moskwie, wyjeżdża do zagranicznych uczelni filmowych, pomaga Węgrom organizować kinematografię, reprezentuje film radziecki na międzynarodowych festiwalach, bierze aktywny udział w światowym ruchu obrońców pokoju. Pisz prace o periodycznej historii filmu radzieckiego i rozwija swoje teoretyczne koncepcje o grze aktorskiej w filmie. Od czasu „Admirała Nachimowa” pojawiły się jeszcze jego dwa filmy: w 1950 r. „Zwycięzca przestworzy” i w 1953 „Odzyskanie szczęścia”. Zarówno w pierwszym jak i w drugim filmie Pudowkin ponownie eksperymentował; w pierwszym chodziło o ukazanie rozwoju aerodynamiki, w drugim o ukazanie człowieka, który nie tylko pracuje, ale ma życie osobiste i rodzinne, o obalenie burżuazyjnej teorii o rzekomej standaryzacji sztuki w warunkach socjalistycznych.

„Zwycięzca przestworzy” skończył się kompletnym niepowodzeniem, które tkwiło w próbie kreowania na bohatera filmu fabularnego — myśli naukowej. „Odzyskanie szczęścia”, jak wiemy, miało szereg błędów i niedomagań, zwłaszcza w konstrukcji, ale w ostatecznym bilansie wnosilo do radzieckiej kinematografii nowy powiew, który dziś dostrzega się w szeregu filmów współczesnych, starających się jak najpełniej ukazać życie bohaterów, od najbardziej codziennych wydarzeń, od strony publicznego w pacht burżuazyjnej kinematografii — osobistego życia bohaterów, ich uczuć miłosnych.

Nagła śmierć przerwała pasmo twórczego życia wieczego eksperymentatora, którego imię mimo tylu niepowodzeń i zламаń w historii filmu i sztuki w ogóle stoi niewzruszenie, może mocniej niż kiedykolwiek.

KILKA SŁÓW

PARYSKI SALON ARTYSTÓW-DEKORATORÓW

Dekoracja wnętrz zarówno mieszkań prywatnych jak i gmachów przeznaczonych dla użytku publicznego jest dziś niezwykle ważna i ogólnie doceniana. Nic więc dziwnego, że otwarty niedawno w Paryżu, w Grand Palais, Salon Artystów Dekoratorów wzbudził wielkie zainteresowanie.

Trudno wliczyć tutaj wszystkie najciekawsze rozwiązania wnętrz jak i najpiękniejsze przedmioty pokazane na tej wystawie, trzeba jednak powiedzieć, że tegoroczny salon cechuje wielką prostota, dbałość o maksymalną użyteczność i przemyslenie nawet najmniejszych szczegółów. Pokazane mieszkania są rzeczywiście miejscem odpoczynku, a nie natłoczonym składem mebli, jak to niejednokrotnie zdarzało się w wcześniejszych wystawach. Współcześni artyści przywiązują również ogromne znaczenie do barw. Dlatego zarówno zasłony w oknach, jak obicia mebli czy stropy i wykładanie ścian, dobierane są często kontrastowo. Po odnaku tworzący ciekawe zestawienie kolorystyczne.

CEKAWY EKSPERYMENT FILMOWY

We Francji dzieci stanowią jedną czwartą publiczności kinowej. Posiadająca swe własne gusta, swe własne reakcje uczulowe i swój własny sąd. Doceniając wagę tego problemu Międzynarodowy Ośrodek Dziecka i Instytut Filmologii uniwersytetu paryskiego, pragnąc przekonać się o gustach młodzieży, dokonały ciekawego eksperymentu.

W ciągu sześciu miesięcy, co dwa tygodnie 1500 dzieci w wieku od 7 do 12 lat oglądało filmy produkcji różnych krajów. Po raz pierwszy — odkąd kino istnieje, dzieci zostały zaproszone do oceny obrazów specjalnie dla nich przeznaczonych. W głosowaniu urządzanym po obejrzeniu kilku filmów dzieci miały możliwość wypowiedzenia się, który z filmów najbardziej im się podobał. To że większość dziewczynek wybrała film radziecki „Człuk i Hek”, a większość chłopców film francuski „Crim blanc” (Siwek) dużo mówi o upodobaniach dzieci i dostarcza wychowawcom wiele cennych wskazówek.

JESZCZE JEDNA NAGRODA DLA GIUSEPPE DE SANTISA

Film „Rzym, godzina 11”, który jak wiadomo cieszył się ogromnym powodzeniem na ekranach całego świata, spotkało jeszcze jedno wyróżnienie. Na krajowym zjeździe filmowców meksykańskich bowiem, realizator tego filmu Giuseppe de Santis otrzymał nagrodę w postaci „Srebrnego orła”. Film „Rzym, godzina 11” uznano za najlepszy spośród wszystkich obrazów wyświetlanych w ubiegłym roku w Meksyku.

FILM O ZAWODACH SPORTOWYCH

W roku bieżącym w Leningradzie odbyło się wiele ciekawych międzynarodowych spotkań sportowych, na których drużyny różnych krajów walczyły z czolowymi sportowcami Związku Radzieckiego. Tym międzynarodowym zawodom sportowym poświęcono nowy dokumentalny film „Międzynarodowe zawody sportowe w Leningradzie”, nakręcony przez Leningradzką Wytwórnię Kroniki Filmowej.

Reżyser P. Palei wspólnie z kilkoma operatorami filmowymi stworzył ciekawy film ukazujący piękno ruchu, siłę i zrzeczność sportowców oraz ich ambitną walkę.

o plastyce

MIĘDZYNARODOWE SPOTKANIE ARCHITEKTÓW

W dniach od 17 do 27 czerwca trwały obrady architektów, w których wzięli udział wybitni architekci i prezydenci miast różnych krajów całego świata.

Na obradach toczono dyskusję nad problemem budowy nowoczesnych miast i osiedli oraz odbudowy miast ze zniszczeń wojennych.

Celem spotkania, obok wymiany doświadczeń, było nawiązanie bliższych stosunków przyjaźni i współpracy między architektami różnych krajów.

Architekci zagraniczni zwiedzili miasta Polski i zapoznali się z odbudową naszych miast, budową nowych osiedli mieszkaniowych. M. in. goszczęli w Krakowie, kombinat im. Lenina i Nową Huta. Inna grupa udała się na Wybrzeże i do Stalingradu. Zwiedzający wyrażali się z uznaniem o budownictwie polskim. M. in. Thomas Braddock, architekt Biura Planowania Londynu powiedział: „Pierwsze, co uderza cudzoziemca przybywającego do Polski — to energia i entuzjazm ludzi pracy. Jestem przekonany, że ludzie ci dobrze wiedzą jak i jakiej przyszłości zamierają i jak dokonuje się u was, aby otoczyć ludzi pracy troskliwą opieką. Po powrocie do kraju powiem swym kolegom, że Polacy to wielki naród, o wielkich, wspaniałych tradycjach, naród, który pracą dowodzi swą wolą i który może mocniej niż kiedykolwiek.

o wszystkim

WYŻSK ARTYSTÓW W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

Postępowe pismo pld. afrykańskie „Edwards” opublikowało artykuł poruszający sprawę katastrofalnego położenia artystów w Afryce Południowej. System monopolizacji przedsiębiorstw filmowych, teatrów, filmarostów w rękach grupy finansistów doprowadził do nieślychanych wzruszeń artystów i uzależnienia ich wyłącznie od dobrej woli właścicieli. Na wiecu w Johannesburgu zwołanym z inicjatywy Związku Pracowników Sztuki wyśtosowano ostrą protest przeciw samowolnemu ustaleniu wynagrodzeń przez właścicieli przedsiębiorstw. Jak píše „Edwards”, kontrakty między właścicielami przedsiębiorstw a artystami podpisywane są nadzwyczaj rzadko. Otrzymana zapłata jest tak niska, że nie wystarcza nawet na zapolejowanie najelementarniejszych potrzeb. Większość artystów jest w skrajnej nędzy i albo porzuca swój zawód, albo dorabia sobie pracą fizyczną.



W. Pudowkin w roli księcia Mienszykowa w filmie „Admirał Nachimow”

tych krajów jesteśmy również jedynymi, którzy z taką obojętnością przechodzą obok dorobku teoretycznego i filmów Pudowkina. Poza komercyjnie rozpowszechnionymi (wyżej wymienionymi) tytułami posiadamy w Polsce jedynie kopie „Konca St. Petersburga” i to sprowadzoną całkiem przypadkowo i od dawna naleyście nie zabezpieczoną. W ciągu dziesięciu lat wydaliśmy w dwu antologach poświęconych kinematografii radzieckiej zaledwie dwie prace Pudowkina (w „Warsztacie filmowego twórcy” i w „Filmie w ZSRR”).

Pudowkin kilkakrotnie odwiedzał Polskę; prowadził wykłady dla studentów szkoły filmowej, dzielił się z naszymi filmowcami uwagami o ich dziełach, z wyjątkową zyczliwością odnosił się do kinematografii polskiej w ogóle — każ-

samodzielną pracę. Realizuje film naukowy „Mechanika mózgu” poświęcony doświadczeniom Pawłowa i krótką komedię „Gorączka szachów” na tle odbywającego się wówczas w Moskwie międzynarodowego turnieju szachowego. Pierwszy był niezwykle przejrzystym i precyzyjnym filmowym wykładem naukowym, w drugim zademonstrował zdobytą u Kuleszowa sztukę montażu. Filmy te zaliczyć należy jedynie do eksperymentów i prób warsztatowych. W ogniu ówczesnych bogatych dyskusji o kulturze proletariackiej krzepił profil twórcy młodego reżysera. Pełny wyraz w twórczości filmowej, zarówno ideowy jak i artystyczny osiągnął Pudowkin dopiero w 1926 r., tworząc dzieło przełomowe w historii filmu — pt. „Matka”.

„Matka” była nie tylko wyrazem tego „Czym wtedy żyłem i czym żyć chciałem w przyszłości” — pisał Pudowkin — ale także nowym etapem w rozwoju sztuki filmowej. Film pokazywał, jak nawiązywać w twórczy sposób do tradycji literatury i sztuki, jak wykorzystywać ich wielowiekowy dorobek dla filmu. Trzeba zdać sobie sprawę, że wystąpienie z odrębną koncepcją artystyczną w rok po premierze takiego dzieła, jakim był „Pancernik Potiomkin” Eisensteina, po latach nauki u takich potęg na gruncie filmu, jak Gardin i Kuleszow — było dowodem wybitnej indywidualności artystycznej. Filmowy styl Pudowkina radykalnie różnił się od stylu uznanych mistrzów radzieckiego filmu. Kon-

scenariusza emocjonalnego, określającego jedynie ramy tematu i jego atmosferę, słowem uczuciową kanwą do swobodnego kształtowania reżyserskiej wizji. Film ten zatytułowany „Proste zdarzenie” jednak się nie udało. Pomimo wielokrotnych przeróbek był dwukrotnie wycofywany z ekranów. Krytyka radziecka określiła go jako szczyt formalizmu. Historia kłopotów małżeńskich młodych ludzi, wciśnięta w ramy eksperymentu, wyszła niesłychanie uduchowiona i rażąco odmienna od dotychczasowych dzieł mistrza — ale film ten był dla Pudowkina okazją do wypróbowania nowych metod w technice filmowej, m. in. okazją do praktycznego zastosowania teorii tzw. czasowego zbliżenia — czyli stworzenia analogii między dystansami czasowymi i przestrzennymi. Trzeba powiedzieć, że to odkrycie przez Pudowkina ogromnych możliwości filmowego wyrazu artystycznego w zmienności tempa ruchu — mimo niepowodzenia filmu — wyprzedziło rozwój kinematografii o całe lata.

Jak wiadomo, przyjęcie dźwięku czołowi twórcy radzieccy przyjęli nieprzychylnie. Pudowkin wraz z Eisensteinem i Aleksandrowem jest autorem „Manifestu o filmie dźwiękowym”, który kanonizuje montaż i możliwość użycia dźwięku wizerunku w sposób asynchroniczny. Ale jednocześnie ten wróg dźwięku uzureczyony jak i inni wszechmocny montaż, rychło pierwszy dostrzegł w dźwięku możliwość twórczych poszukiwań i już w 1933 r. na ekranach

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 12 zł. Adres: Redakcja i Administracja: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklesłodrukowe RSW „Prasa” w wa. Marszałkowska 3/5. Zam. nr 1382. 5-B 150075